Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 25. Lipca 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 30.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pasiecznik z Hrybek.

Jurek na kasztanie, Ostap na klapouchej, leśnemi ścieżynami, na oślep prawie, dostali się nad rankiem na stanowisko, zajmowane przez oddział jazdy, tropiącej uchodzący ze zdobyczą czambuł tatarski. Jazda stała na polanie, mimo której przechodziła drożyna, dostępna dla wozów, pod warunkiem baczenia na osie i koła, zagrożone przez pnie i wyboje. Drogi tej nie wytyczał inżynier żaden. Zrobił ją pierwszy wóz, który się pomiędzy drzewami przesunąć zdołał i zostawił ślad po sobie. Za tym pierwszym poszedł drugi, trzeci i tak dalej; ludzie jeździli, osie łamali, droga się robiła. Procederem tym robiły się drogi wszystkie w czasie owym. I ta, po której Tatarzy ciągnęli, nie innym powstała sposobem, zrobiła się łatwiej dla tego, że otwartem szła polem.

Jurka i Ostapa, gdy się na polanę wynurzyli, zatrzymała warta okrzykiem: *halt!... berda!...* W rzemiośle wojennem przodkowie nasi Niemców za mistrzów mieli i od nich techniczne przejmowali terminy. Ze strony przeciwnej mistrzowali im Turcy i Tatarzy. Militaryzm staropolski kształtował się wedle dwóch tych wzorów, co było rzeczą naturalną i konieczną, ze względu na wyłącznie obronny charakter onego. Praojcowie nasi wojen zaczepnych nie toczyli i społeczeństwa do takowych nie przysposabiali; konieczność prowadzenia wojny, bodaj czy nie stała się powodem głównym całej wadliwości owej ustroju polityczno-społecznego, którą radzi krytykujemy?... Krytykować łatwo. Wstręt do wojowania stanowi pewien rodzaj nitki czerwonej, przewijającej się przez ciąg cały dziejów polskich. Przyciśnięta do muru przez sąsiadów łaskawych Polska, wydała z siebie najprzód, ideę państwową, następnie stan rycerski, dalej rycerskość, a nawet przejawiającą się niekiedy wyjątkowo zaczepność, przeszczepiając to wszystko z zewnątrz: chrystjanizmu nawet nie przyjęła dla czego innego, jeno dla tego, ażeby napastnikom oręż z ręki wytrącić. Dla tego to, formalizm militarny długo brzmiał w Polsce po niemiecku.

— *Halt!... berda!...* — zabrzmiało w uszach Jurkowi i Ostapowi.

— Swój!... — odparł Jurek z konia zsiadając — Małuski!... z chorągwi piatyhorskiej towarzysz!...

— A ten dziad?... — zawołał szyldwach.

— To dziad z futoru... Gdzie pułkownik?...

— Gdzieś tam spać musi... — była odpowiedź — po tamtej stronie...

Pułkownik spał jeszcze, równie jak rycerze wszyscy, z wyjątkiem setni jednej kozaczej, na którą wypadła kolej warty nad rankiem. W uspieniu tem jednak widzieć się dawała gotowość zupełna do natychmiastowego zerwania się z orężem w dłoni. Konie osiodłane, z popuszczonemi jeno popręgami i rozchełznane, stały szeregami do kołków uwiązane, gmerając w resztkach siana. Przed koniem każdym tkwiła w ziemię wbita długa spisa kozacka, lub też krótsza nieco kopja piatyhorska, a obok niej, hunią lub burką obwinięty leżał żołnierz uśpiony. Ogniska nigdzie, ani śladu; woza przy partji, ani jednego. Jurek przechodząc wzdłuż, przypatrywał się koniom, o ile mu na to zmrok świtającego pozwalał dnia, i rzucał następujące czuwającym szyldwachom zapytanie:

— Pułkownik?...

Przypatrywał się koniom, domyślał się bowiem, że pułkownik nie gdzieindziej miejsce na przespanie się wybrał sobie, jak obok wierzchowca swego. Jakoż nie zawiódł się. Obok chorągwi piatyhorskiej dostrzegł siwego konia, nieopodal zaś od tego, trzech ponakrywanych z głowami ludzi, którym jeno buty widać było. Nachylił się. Chodziło mu o poznanie pułkownika po butach. Przypatrywał się pilnie przez czas jakiś, w końcu jednak, na chybił trafił, ciągnąć począł i szarpać jednego ze śpiących za nogę.

— Ha ha!... — krzyknął, zrywając się, szarpany.

Okrzyk ten rozbudził dwóch innych.

— Co to?... — zapytał jeden z nich.

Jurek po głosie poznał pułkownika, pułkownik poznał Jurka i ten ostatni przedstawił mu Ostapa, który kłapouchę za uzdę trzymał. Porozumienie się nie zabrało czasu dużo.

— Przeprowadzisz?...

— Przeprowadzę...

— Tak, żebyśmy spadli na Tatarów, niby piorun z jasnego nieba?...

Dziad ramionami wzruszył i odparł:

— Pokażę wam wielmożny panie, drogę, która z jaru wychodzi wprost na trakt a idzie zaroślami... Jak zaś na Tatarów spadniecie, to już rzecz wasza, nie moja... Ja nie podejmuję się pokazywać wam tego, raz, bom się zaklął przeciwko kozakowaniu, powtóre, chociażbym się i nie zaklął, to poradzić bym nie umiał...

— Chodzi mi o to, żeby jassyr naprzód odbić...

— Ha!... — mrugnął Ostap brwiami. Prawda wasza... Nie odbiwszy jassyru najprzód, nie ma słusznej racji w ściganie się

z Tatarami zabawiać... Jar — dodał — wypada jakoś wprost uroczyska piroźniańskiego... Obejdziemy Hrybki i wytkniemy nos po tamtej stronie...

— Czy przez jar ów przechodzi droga jeżdżona... — zapytał pułkownik.

—Gdzieżtam!... ani jeżdżona, ani chodzona... Tamtędy idzie waga lasu... ot co...

— No... nie ma więc co... Trzeba się zresztą na pana Boga spuścić! — rzekł pułkownik.

Natychmiast obesłał rozkazem cichym rotmistrzów i setników i w chwilę później nastąpiło wstawanie żołnierstwa, połączone z chrząkaniem, spluwaniem, wyciąganiem się i ziewaniem. Wnet potem nasąpiło poprężenie i chełznanie. Pułkownik, obchodząc szeregi, zalecał dokładność w ściąganiu rzemieni, zapowiadając na dzień dzisiejszy możliwość potykania się z nieprzyjacielem.

— Jeżeli pewnie — wykładał — na siodle siedzisz, to pewnie będziesz kłuł i rąbał...

Zalecał też zachowanie ciszy w pochodzie; dał rotmistrzom znak.

— Wsiadać!...

W chwili jednej, sześciuset jeźdców wzniosło się w powietrzu. Partja ruszyła. Przodem na kłapouchej jechał Ostap, a za nim żołnierze parami; wkrótce jednak, z powodu ciasnej drogi, zmienić ordynek musieli. Oddział wyciągnął się w długi łańcuch, którego ogniwa stanowili pojedyńczo jeden za drugim posuwający się żołnierze. Koń każdy zdawał się przypiętym być pyskiem do ogona poprzedzającego go konia. Jeden tylko pysk kłapouchej swobodnie się w powietrzu wyciągał.

Nie witała jutrzenka ciągnących rycerzy, nie igrało w ich zbrojach słońce wschodzące. Jutrzence przeszkadzały, w przesyłaniu powitania, konary dębów pobereskich; słońce igrać w czem nie miało, albowiem piersi rycerskich i głów nie okrywały polerowne pancerze i hełmy, ale sukmany sukienne i czapki baranie, sukmany i czapki kroju, który w kozakomanach naszych nowoczesnych, wierzących w wyloty, jołomy i szarawary szerokie, wzbudziłyby chyba uczucie wstrętu. Kozak, dawny kozak bojowy, odznaczał się właśnie w odzieży prostotą, posuwaną niekiedy do takiej przesady, że nie pozostawiał na grzbiecie jak tylko koszulę, na reszcie zaś ciała okrycie, do zamaskowania nagości niezbędne. Tak się ubierali zaporozce. Dla zabezpieczenia się przeciwko zimnu, służyły im kożuchy ze skóry baraniej, lub hunie, czuhaje z sukna grubego. Łeb golił, głowę czapką baranią nakrywał. Strojność przyszła im z dworów magnackich polskich, które utrzymywały poczty orężne i nadawały im barwy stosowne. Starszyzna w ubiorze kierowała się fantazją, modelowaną wedle wzorów polskich i tureckich i doprowadzała rzecz do *nec plus ultra* pawistości. Właściwy ubior kozacki, nie będący, ani negliżem zaporoskim, ani papuziem strojnictwem otomańskiem, nie różnił się od ubioru wieśniaków na Rusi czem innem, jak tylko zastosowaniem onego do wymóg bojowych. Był więc krótszy i lekszy. Na buty zwłaszcza kozacy się sadzili. Eleganci przyozdabiali sobie świty i czapki, to dodatkami, to modyfikując kształt onych pierwotny. Swita przypomina żupan krojem; czapka barania jest pierwowzorem kołpaka. Zamożniejsi dokonywali łatwiej przemiany, biorąc jeno sukno cieńsze i futerko delikatniejsze. Setnie przeto kozackie, maszerujące lasem rozbójniańskim, nie dawaly słońcu okazji do igrania. Chorągwie piatyhorskie w tem samem, co do słońca znajdowały się stosunku. Ze spis tylko ta i owa promyki kiedy niekiedy odbijała, te jednak wnet ginęły śród gałęzi dębów odwiecznych, które gdyby się dziwić mogły, dziwiłyby się takiej wielkiej ilości ludzi orężnych, przesuwających się śród nich w cichości. Co do cichości, tę, stosownie do rozkazu pułkownika, zachowywano w szeregach absolutnie. Nie odzywał się nikt ani słowa. Rozlegał się jeno tupot głuchy; słyszeć się dawało kiedy niekiedy prychnięcie konia, kiedy niekiedy szabla szczęknęła.

Jadący też za Ostapem rotmistrz, rzucił zapytanie:

— Będzie tu konie napoić gdzie?...

— W jeziorku chyba... — była dziada odpowiedź.

Niebawem pokazała się woda, z której, jak skoro z poza drzew Ostap się wysunął, zerwało się z krzykiem kaczek dzikich stadek parę. Nastąpiło pojenie koni, połączone z króciutkim dla ludzi spoczynkiem. Korzystając z okazji, żołnierze się pomyli, posilili i w wodę zaopatrzyli. W wodę się zaopatrywali z uwagi na rozprawę spodziewaną. Ileż to razy, na polu bitwy, człek dałby pół życia za rosy kropelkę!

Około południa wypadło znów spocząć, a przytem i konie pokarmić nieco. Nim jednak do tego przyszło, pułkownik rozmówił się pierwej z Ostapem.

— Jak myślisz — zapytał — czy Tatarzy przed nami, czy my przed Tatarami, czy ciągniemy z nimi na równi?...

— Przypuściwszy, że razem z nami z noclegu ruszyli, to my ich na dobrą poprzedzamy milę...

— Znajdujemy się przeto na stanowisku przed nimi?...

— Niechybnie... chyba iżbyśmy się na spoczywaniu zabałamucili...

— Trzeba szkapom dać wytchnąć!... Wszak można?...

— Godzinkę... nie dłużej... Tatarzy ciągną z wagą?...

— Z całym niewiast i dzieci taborem... — odrzekł pułkownik.

— Ano... to oni tam, na wprost jaru, nie nadciągną jak z południa. Przed nami do jaru drogi godzinka, nie więcej...

— Z koni!... — huknął pułkownik.

Oddział zsiadł w tym samym jak maszerował porządku. Koniom w torbach obrok dano. Żołnierze gromadkami na ziemi się porozsiadali, chleb z czosnkiem zajadali, wodę popijali i żarty sobie stroili z kraju, w którym nie dostać ani piwa, ani miodu, ani gorzałki. Ten i ów zaręczał, że czuje, jak mu już w brzuchu żaby się ruszają. Pod dębem, na stronie nieco, siedział pułkownik w gronie starszyzny i nie o żabach rozprawiał, a o kłopocie, w jaki go rozprawa spodziewana wprawia.

— Wszystko dobrze... — powiadał— gdyby nie jeńce!... Jeńce sęk!...

Głową kręcił i mruczał, wąs siwy gładząc.

— Jeńce sęk!... — powtarzał. I jak tu wymiarkować?... Przypuszczam bowiem, że przyciągamy, stajemy i Tatarzy nas nie zwąchali... No?... I cóż dalej?... Wypadamy, obces się rzucamy, zwycięztwo odnosimy... a oni nam pod nogi trupy niewiast i dzieci ciskają... Jeńce sęk!... Gdyby mi sęk ten rozbić kto pomógł, dałbym mu konia z rzędem od siebie i królowi jegomości do nagrody przedstawił...

Pułkownik wyrazy powyższe domawiał i coś jeszcze chciał dodać, lecz się powstrzymał, z powodu, że uwagę jego zwróciło na siebie zbliżanie się postaci, której pozór nie mógł na siebie uwagi nie zwrócić. Wysunęła się z po za drzew tak znienacka, jakby z drzewa wyszła; chód jej pomimo wzrost duży i barczystość, szybki był i lekki; powierzchowność zdradzała starca krzepkiego o wejrzeniu groźnem i surowem. Podszedł do pułkownika wprost i stanął.

— Hę?... coś za jeden?... — zapytał ten ostatni, ciskając nań spojrzenie z podełba.

— Pasiecznik z Hrybek...

— Co powiesz?...

— Dam wam radę...

— Jaką?...

— Jak się do czambułu wziąć macie...

— E... przyjacielu... Siadaj jeno i gadaj...

— Nie mnie siadać, ale tobie, panie pułkowniku wstawać... i konie natychmiast poprężyć i chełzać kazać...

— Któż mi zaręczy za ciebie?..

— Jest tu panicz z Hrybek i dziad Ostap...

Pułkownik zerwał się na nogi wnet, przywołał Jurka i Ostapa, i, gdy ci się stawili, zapytał:

— Znacie starca tego?...

— Pasiecznik... — odpowiedzieli zapytani głosem jednym.

— Od jegomości przychodzę...

— Ręczycie za niego?...

— Jegomość ręczy, kiedy go przysłał... — odparł Ostap. Znam go... pasiecznik...

— Hm?... — mruknął pułkownik. Jakże więc?... O jeńców mi chodzi... jeńce sęk...

— Tatarzy pędzą jassyr we środku... — odrzekł starzec. Przodem biegnie koni tysiąc i z tyłu tysiąc ciągnie... Przy jeńcach idzie ich nie więcej, jak setni dwie... Trzeba razem skoczyć, na tych co z przodu, na tych co z tyłu i na tych co we środku...

— Po dwie setnie... — podchwycił pułkownik.

— Ehe... po dwie... Rzecz cała w tem, ażeby się jedna partja nie wyrwała pierwej niż druga... Jedna wprost ztąd niech idzie na hrybecki kopiec, druga na serbski krzyż, trzecia do piroźniańskiego jaru... Ta ostatnia wyskoczy z jaru, gdy Tatarzy mimo będą jassyr prowadzili; wyskoczy i

razem z rusznic wszystkich ognia da... Na ten odgłos dwie tamte wypaść mają i rwać z kopyta przed siebie, nie zważając na siłę, jaka przed nimi będzie...

Dla pułkownika słowa te miały wartość wynalezienia ilości wiadomej, bez której niemożliwem jest rozwiązanie zadania. Doznał wnet ulgi na sumieniu, zapytał jednak:

— Zkądże wiesz, w jakim porządku czambuł ciągnie?...

— Zkąd wiem to wiem... to rzecz moja... Wasza, albo mnie posłuchać, albo nie posłuchać... — odburknął starzec.

— Czemużbym posluchać nie miał!... W lesie tym jestem niby ślepy... Chodzi jeno o to, kto partje rozprowadzi...

— Ostap — zaczął starzec, tonem w którym brzmiał akcent rozkazu — poprowadzi na serbski krzyż... Trafisz? — zapytał, do dziada się zwracając.

— Owa... — odparł zapytany...

— Panicz Jurko, poprowadzi na hrybecki kopiec... to najbliżej, tylko w tem miejscu szlak przechodzi opodal od lasu, więc na odgłos wystrzałów śpieszyć się potrzeba, ażeby ordy nie puścić na pójście jassyrowi w pomoc...

— Słyszycie?... — zapytał pułkownik rotmistrzów.

— Słyszymy... — była odpowiedź z kilku na raz ust.

— Ja... — ciągnął starzec — poprowadzę w jar...

— No... — pułkownik na to — zwracając się do rotmistrzów i setników — poprężyć i chełznać!...

Wnet też i rozporządzenia, tyczące się podziału wojska, poczynił. Dwie setnie, co w pochodzie czoło kolumny stanowiły, a z których jedna była chorągwią piatyhorską, odkomenderował z dziadem, powierzając dowództwo nad oddziałem rotmistrzowi; dwie setnie tylne, z których także jedna piatyhorską była, wysłał z Jurkiem, pod dowództwem drugiego rotmistrza; nad dwiema setniami kozackiemi, które pochodnej kolumny środek trzymały objął dowództwo sam i oddał się pod przewodnictwo pasiecznika. Utworzył się w ten sposób szyk bojowy, złożony z środka i dwóch skrzydeł. Spójność ich polegała całkowicie na ścisłem zastosowaniu się do rozporządzeń starca, który rozporządzenia dawał z taką pewnością i swobodą, jakby rzemiosłem jego była nie pasieka, a rzecz wojenna. Zalecił ostrożność i zachowywanie cichości w szeregach; dał rotmistrzom wskazówki odnoszące się do natury gruntu, na którym się potykać mają; oznajmił, że potrzebują szybko sformować się pod lasem i przypomniał o potrzebie pozostawienia połowy setni w odwodzie, dla ochrony tyłów kolumny atakującej.

— Ej, ty, dziadu — odezwał się pułkownik — jadłeś ty chleb z pieca żołnierskiego!...

Pasiecznik nie odpowiedział na to nic. Zmarszczył jeno czoło i rzekł:

— Ano... pospieszajcie... Tatarzy w chwili tej dochodzą do kopców hrybeckich i tłuką się po burzanach jegomości.

Pułkownik zakrzyczał. Wnet więc żołnierstwo koni dosiadło, dwie setnie tylne odłamały się w prawo i poszły ścieżkami, obchodzącemi od strony zachodniej futor pana Macieja; na czoło dwóch setni przednich wysunął się Ostap na kłapouchej; pasiecznik zaś odmówiwszy konia, którego mu pułkownik podać kazał, poszedł piechotą przed dwiema setniami kozaczemi. Pułkownik próbował zawiązać z nim rozmowę, tyczącą się przeszłości jego, w której on nabył praktyki rzemiosła wojennego, lecz słówka jednego wydobyć z niego nie mógł. Dziad milczał, niby głuchy. Wydobył z niego odpowiedź dopiero, gdy go o pasiekę zaczepił. Czy liczna? zapytał.

— Sto dwadzieścia i trzy pniów... — odpowiedział — do temnika gotowych...

— Roiła się w tym roku?...

— Roiła się... Miała siły wielkie z bodiaków...

— Wybiliście dużo?...

— Sto dwadzieścia i trzy pnie... W roku zeszłym biliśmy pięćdziesiąt i siedm... pięćdziesiąt i siedm do temnika poszło...

— I tak zawsze połowę bijecie, połowę na zimowlę chowacie?...

— Nie zawsze... jak się trafi... W latach ostatnich dużo się do temnika składało, bo nie było co robić z miodem i z woskiem... Ot, krążki wosku i półbeczki miodu stoją i stoją... i licho wie jak długo jeszcze stać będą...

— Nie długo już... — odparł pułkownik. Kraj oczyszczony... kupcy nie widać, jak uwijać się i dopytywać poczną...

Starzec ramionami ruszył; przez chwilę szedł w milczeniu; po chwili zapytał:

— Nie słyszeli wy, panie pułkowniku, czego o Łączyńskim?...

— O którym?... o Józefie?...

— A?... o Józefie Łączyńskim...

— Jakże... słyszałem... Jenerał od piechoty...

— Żyje jeszcze?...

— Żyje... obecnie gdzieś na Podolu znajdować się musi...

Starzec mruknął, czoło zmarszczył i w milczenie się pogrążył. Pułkownik zaczepiał go jeszcze, nadaremnie jednak. Szedł obok niego w ziemię patrząc i tylko kiedy niekiedy, z podełba przed siebie spoglądając; za nimi postępowały setnie kozacze idąc czas jakiś po gruncie równym, aż w końcu ludzie i konie spuszczać się poczęli w parów, w który ich łagodna poprowadziła pochyłość, a który osłaniał las grubopienny, ustępujący następnie miejsca zaroślom, stanowiącym od strony traktu pewien rodzaj parawanu. Żadna droga, żadna ścieżka nie prowadziła tędy. Zarośla ciągnące się wzdłuż szlaku na przestrzeni znacznej, składały się z leszczyny, gęstem okrytej liściem. Widok onej zastanowił pułkownika. Okiem powiódł i przewodnika zapytał:

— Którędyż tu wylot dla nas?...

— O... — odparł starzec, palcem na leszczynę ukazując.

— Wąż się tam przeciśnie, ale jeździec...

— Niech jazda konie w lesie zostawi...

— A... — odezwał się półkownik tonem domysłu.

— Hasło, na które tamte czekają partje, nie pójdzie na marne... Przygotujcież się, panie pułkowniku i słuchajcie... jak tylko wilk zawyje, wy natychmiast... na przód!... Bądźcie zdrowi...

To rzekłszy zwrócił się i oddalił. Wyszedł z parowu, kierując się ku podniosłości, co na prawym onego wznosiła się brzegu i gdy się znalazł na szczycie takowej, powiódł dokoła wzrokiem i od jednego oka rzutu upatrzył sobie dąb, którego korona nad inne wystrzelała. Zrobił to, co Nebaba, o którym śpiewał wieszcz ukraiński. Po pniu dębu dostał się w górę, zniknął wśród konarów i wytknął głowę na szczycie, zkąd mu szeroki otworzył się widok, podobny do tego, który odmalował piórem tak cudnie Goszczyński. Oko nie miało do oglądania ani Dniepru, ani Biełozierja, ani też niczego, coby je zastąpiło. Dziś możnaby z tego pasiecznikowego obserwatorjum dojrzeć Iwaszkowa, Kodymy, Serbów, może Besztańkowa, może jeszcze i Pisarzówki albo Francuski, otoczonych sadami, uakcentowanych, że się tak wyrazimy, wieżami cerkwi blachą pobitemi i mrugających okienkami chat wieśniaczych. Pomiędzy niemi rozlegają się pola zbożem okryte. Widok to zajmujący i wspaniały, piękny nawet, lecz nie tą pięknością, co duszę rozmarza, myśl bowiem, co się z niego wyłania, jest to myśl pożytku, pracy, chleba. W czasach owych, w momencie, w którym pasiecznik obserwacją czynił, osady powyżej wymienione istniały w postaci związków. Tu widzieć się dawał futor, owdzie lepianek kilka; gdzieniegdzie bukiet drzew owocowych znamionować się zdawał, że ludzie zaznaczyli sobie punkt ten na miejsce przyszłej osady wiejskiej, ba nawet miejskiej może. Losy krainy spowijały pieluchy zagadkowości, a oko błąkało się po przestrzeniach, w części burzanami, w większej części trawą okrytych. Po parowach klekotały źródła; po dolinach, któremi rzeczułki płynęły, rosła łozina z oczeretem na przemian; dropie zdawały się głównemi stron tych mieszkańcami; rozłogami przeciągały tabuny koni dzikich; pola zalegała uroczysta jakaś cisza.

Śród pól tych przechodził szlak Kuczmański i ten to szlak stanowił główny obserwacji pasiecznika przedmiot. Zwrócił naprzód wzrok na wschód. Jak daleko okiem sięgnął, nic dopatrzeć nie zdołał — wiatr po szlaku tumany wyprawiał, pustka zalegała okolicę. Od wschodu powiódł okiem ku zachodowi i zanim całkowicie twarz w prawo obrócił, dostrzegł gromadkę jeźdźców, posuwającą się traktem. Ciągnęli, jakby drzemiąc; nad nimi wznosiły się drzewca spis nagich. Dalej na prawo i na lewo od traktu, pokazał się w rozsypce szereg jeźdźców, brnących przez burzany i trawy. Szereg ten, rzadki w dali, gęstszym był na skrzydle lewem, ocierającem się o las; a nie tylko gęstszym ale i czujniejszym. Jeźdźce zatrzymywali się od czasu do czasu, nasłuchując; niektórzy zaś wjeżdżali pomiędzy drzewa, zapuszczając

się tak daleko, że jeden dotarł do dębu, na którym pasiecznik siedział. Starzec sępim wzrokiem patrzał z góry na przysadkowatego Tatara, ubranego w kaftan z burego sukna, uzbrojonego w krzywą szablę, w długą dzidę, w łuk i w sajdak strzałami napełniony, a siedzącego na gniadym, garbonosym koniu, niosącym szyję poziomo i wyciągającym pysk naprzód. Okrążył dąb dokoła i z lasu wyjechał. Słychać było, jak słów kilka rzucił stojącym na skraju towarzyszom. Starzec się uśmiechnął. Szereg przeciągnął mimo i wnet na trakcie pokazała się kolumna duża, spisami najeżona. Otaczały ją kłęby kurzawy, w której migotały groty i powiewały buńczuki.

I kolumna ta mimo przeciągnęła.

Spoglądając nie z zajmowanego przez pasiecznika stanowiska, ale z innego jakiego punktu wyniosłego, z punktu naprzykład, w którym ranny skowronek unosi się z piosenką nad wylotem jaru piroźniańskiego, spoglądając powiadamy, z punktu tego a nie będąc powiadomionym o niczem, widziałoby się, z jednej strony, las drzemiący głucho, z drugiej, Tatarów ciągnących bezpiecznie i spokojnie. Przeszła ordy połowa jedna i pociągnęła szlakiem dalej. W kwadrans później słyszeć się dało wozów skrzypienie. Ukazał się tabór. Wozy szły w czworoboku podłużnym, wewnątrz którego mieścili się jeńce: mężczyźni powiązani, kobiety z dziećmi na rękach, dziewczęta młode, dzieci gromada. Z tych ostatnich część jakaś na wozach siedziała, na tych jednak wyłącznie, które przednią taboru ścianę stanowiły, na innych bowiem znajdowali się Tatarzy z długiemi w rękach batogami, któremi posługiwali się do ponaglania opieszałych. Jeńcy szli zbitą kupą, w kurzawie i gorącu. Od oka sądząc, być ich mogło tysięcy trzy z czemeś. Tabor posuwał się pod zasłoną silnego oddziału jazdy, który szeregiem warty otaczał go z przodu i z boków, idąc z tyłu kolumną. Za jazdą, w oddaleniu niejakiem, pędzono trzody bydła. Za trzodami szła ordy połowa druga. Pochód odbywał się porządnie, spokojnie, bezpiecznie, z zachowaniem ostrożności wszelkich, pomimo, że czambuł znajdował się już u kresu prawie drogi z powrotem; mijając bowiem źródła Kodyny, wydostawał się z rejonu dosiągłości zamków obronnych i wychodził z pobliża niebezpiecznych dla niego lasów. Pozostawał mu do zrobienia krok jeszcze tylko. Przestrzeń nie więcej jak milowa oddzielała go od bezpieczeństwa zupełnego, do którego podążał ze spokojem zaufanego w siłę własną wojska, rzucającego na ciche przed chwilą pola i na głuche lasy gwar pochodu, złożony z tententu koni, ze szczęku oręża, ze skrzypu wozów, z porykania bydła i ze zgiełku ludzi.

Nagle w gwar ten, niby prym w orkiestrze do zamąconych wtórów, wpadło, zwiane niejako z powietrza, przeciągłe żałosne, a mimo to potężne wilka wycie.

Odezwało się ono w chwili, gdy tabor wtoczył się naprost wylotu jaru piroźniańskiego.

W tejże chwili zabrzmiał nagle huk wystrzałów broni palnej wraz z którym słyszeć się dał głośny, gromki, donośny i radośny prawie okrzyk: hurra!...

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA DRUGA.

CHMIELIŃSKI.

I.

Treść: Obóz Chmielińskiego i jego siły pod Chlewską Wolą — charakter wodza — karność — bitwa pod Obiechowem — rozdzielenie oddziału w Biały — obóz w Kątach — jeniec moskiewski — zabawna scena.

Siły Chmielińskiego po bitwie pod Rudnikami wynosiły 500 piechoty i 100 koni kawalerji. Na samym wstępie do obozu, dowiedziałem się, że za chwilę ma się odbyć egzekucja burmistrza z Pilicy, Dowbora, któren przekonany o kilkakrotne denuncjowanie powstańczych oddziałów, jak również o prowadzenie rozboju z kilkunastu łotrami, udając powstańców, skazany był przez Chmielińskiego na powieszenie, a syn jego dwudziestoletni wyrostek, wcielony został do piechoty. Nieprzyjemne to na mnie uczyniło wrażenie i poczytywałem to nawet sobie za złą wróżbę, która dzięki Bogu się nie sprawdziła.

Przedewszystkiem zameldowałem się Chmielińskiemu, któren z powodu oporu okazanego mu pod Seciminem po śmierci Bończy, krzywo na nas patrzał i nie miał zbyt wysokiej opinii o naszym rycerskim animuszu. Przeznaczony zostałem do kawalerji

Rozejrzawszy się po obozie, uderzony byłem wielkim porządkiem i ścisłą karnością w żołnierzu. Nigdzie nie spostrzegłeś, jak w innych oddziałach, samowoli i niesforności, wszędzie tu czuć było rygor wojskowy i dyscyplinę militarną — nikomu nie wolno było na krok oddalić się bez rozkazu z obozu, rozdzielanie żywności prowadził z całą skrupulatnością wyznaczony do tego oficer, a żołnierz nie próżnował, ale ciągle czemś był zajęty. Kompletne przytem umundurowanie, składające się u kawalerji z granatowej kurtki, zapinanej na mosiężne guzy, takichże szarawarów i francuskiego kepi na głowie, u piechoty zaś, z białych płóciennych mundurów, zapinanych na metalowe guziki, takichże szarawarów wpuszczonych w buty i okrągłych czapek, prezentowało żołnierza dobrze i przedstawiało widok regularnego wojska, budzącego zaufanie u swoich i poszanowanie u wrogów.

W Chlewskiej Woli po mojem przybyciu staliśmy trzy tygodnie, niezaczepieni przez nieprzyjaciół i cały ten czas od świtu do zmroku przepędzaliśmy na mustrze i ciągłych ćwiczeniach. Chmieliński był niezmordowany, wszędzie i wszystkich uczył, nic bez jego wiedzy się nie działo, nic jego oka nie uszło, kontrolował nawet pikiety na swoich posterunkach. Jeden kawalerzysta o mało że życiem nieprzypłacił drzemki na koniu, skończyło się na batach i odesłaniu do szpitala. Chciał prawie w każdego przelać tak swoją znajomość rzeczy, jak i poszanowanie dla regulaminu wojskowego. Literalnie cały dzień byliśmy umęczeni i nie jeden skrycie wzdychał do wolności, którą sam dodrowolnie postradał — niejeden zniechęcony i nie przywykły do obejścia, gdzie bizun grał niepoślednią rolę, byłby po prostu drapnął i szukał oddziału więcej łagodnego i umiejącego szanować godność osobistą, gdyby nie znana wszystkim surowość Chmielińskiego, z którym żartować nie było rzeczą bezpieczną. Surowość Bończy, w porównaniu z surowością Chmielińskiego była ojcowską łagodnością — ta okoliczność trzymała wszystkich w karbach należytego posłuszeństwa i upadając nieraz ze znużenia nikt nie śmiał pisnąć słówka, okazać tego choćby najmniejszym giestem niazadowolenia. Każdy rozkaz jak najskrupulatniej był spełniony. Najprzykrzejsze pamiętam były chwile mustry ogólnej, która zwykle odbywała się popołudniu i nierzadko się zdarzało, że nieumiejętnych lub okazujących choćby najmniejszą niesubordynację, wyprowadzano przed front i sypano po kilka lub kilkanaście batogów. Niewymownie to było przykrem, mianowicie dla paniczów, nie przypuszczających ażeby ośmielano się ich, walczących za swobodę i wolność, traktować tak haniebnie i nieodpowiednio. Powtarzam jeszcze raz, że byliby dawno dali drapaka gdzie pieprz rośnie, gdyby nie obawa kuli w razie złapania, jak tego mieli niedawno przykład na synu pewnego obywatela z Sandomierskiego, który ukarany na mustrze za jakieś zuchwalstwo, tak to wziął do serca, że tejże nocy opuścił obóz wraz z koniem i bronią — przytrzymany przez władze cywilne którym Chmieliński surowo zalecił łapać dezerterów, został dostawiony do obozu i pomimo wstawiania się obywateli, oficerów, że to syn jedyny poczciwych rodziców, został w sześć godzin rozstrzelany. Był to czyn może nieludzki ale nieodzowny. Od tej pory, nikt już nie pomyślał o dezercji, która w innych oddziałach tak często i berkarnie się powtarzała.

Nad jazdą miał komendę jakiś Niemiec, podobno podoficer pruskich dragonów, nazwiskiem Belardi. Ten swoją popędliwością i surowością dał nam się we znaki potężnie, ale rzeczywiście wyuczył nas doskonale tak jazdy konnej, jak i obrotów wojennych. Baliśmy go się jak ognia!

W ciągu trzeciego tygodnia Chmieliński liczył 600 ludzi piechoty i 150 kawalerji.*) Piechotą dowodzili oficerowie zagranicznych wojsk, jak Tylman, Skąpski, Ropolewski i inni, których nazwisk dziś już nie pamiętam. Kawalerją dowodził rotmistrz Rzepecki, pod którym służyli porucznicy Belardi i Neumann. W tym stanie doszły nas wiadomości, że jenerał Czengiery wystąpił przeciwko nam z Kielc. Zadaniem Chmielińskiego było unikanie starcia, dla zyskania na czasie, wyćwiczenia żołnierza i skompletowania go w jak największej liczbie — postanowił przeto wycofać się i w tym celu w nocy zwinięto cichaczem obóz i wyruszyliśmy

*) Cyfry przytoczone przez autora są przesadzone. Piechota Chmielińskiego liczyła 400 ludzi — kawalerja zaś 2 plutony, razem około 90 ludzi. Maximum więc sił Chmielińskiego było 500 ludzi. (Przyp. wydawcy.)

do Słupi nowej, a ztąd do Obiechowa, w kierunku Szczekocin. Moskwa przybywszy do Chlewskiej Woli i nie zastawszy tam nas, ruszyła naszymi śladami. O godzinie drugiej w nocy przybyliśmy do Obiechowa, gdzie nakazano spoczynek. Na mnie wypadła kolej pójścia na pikietę i postawiono mnie, wraz z drugim kompanem, od strony, zkąd spodziewany był nieprzyjaciel, o dwie wiorsty od obozu. Kiedy stanęliśmy na miejscu, zaczęło już świtać. Tutaj muszę wspomnieć o wypadku nader komicznym, który jednakże mógł się dla mnie zakończyć arcysmutnie. Przymuszony gwałtowną potrzebą, musiałem na chwilę zsiąść z konia — i będąc zaledwie w połowie procesu, widzę nie dalej jak o 200 kroków wysuwających się z lasu kozaków, lecących co koń wyskoczy. Zaledwie tyle miałem czasu, że zdążyłem wsiąść na konia i, wyjąwszy pistolet, strzeliłem, uwiadamiając obóz o nieprzyjacielu. Kolega mój, stojący odemnie o jakie 150 kroków, nic nie widział i dopiero wystrzał ocknął go prawdopodobnie z drzemki. Pędem ruszyliśmy do obozu, mając na piętach kilkunastu kozaków, których zapał stojąca w opłotkach piechotna nasza wedeta powstrzymała. Nieład mego ubrania łatwo można sobie wyobrazić.

Obóz zastaliśmy w ruchu, furgony i bagaże wychodziły naprzód — piechota stała w porządku. Chmieliński na jej czele wychodził za wieś ku Szczekocinom na obszerne pole — kawalerji zaś kazał stanąć na prawem skrzydle, opierając ją o niewielki lasek. Piechota rozsypała się w tyralierkę — a zaraz też ujrzeliśmy i piechotę moskiewską, postępującą łańcuchem tyralierów, a jazda, składająca się ze szwadronu dragonów i sotni kozaków, pędziła co koń wyskoczy, chcąc nas odciąć od wspomnionego lasku. Chwalebny ten zamiar sparaliżowała im nasza piechota, przywitawszy ich rzęsistym ogniem, a że nie był bez skutku, najlepszym tego dowodem było kilka koni bez jeźdźców, biegających po polu. Poczęstowani tak dragoni stanęli, zsiedli z koni — a że większa część naszej kawalerji była zaopatrzona w sztućce, więc toż samo i my uczyniliśmy i zaczęła się strzelanina. Tymczasem piechota nasza, prowadzona osobiście przez Chmielińskiego, w wybornym porządku cofała się ku Szczekocinom, nie poprzestając ani na chwilę rzęsistego ognia. Niedługo nadbiegł adjutant Chmielińskiego z rozkazem do kawalerji, stojącej prawie w jednej linji z piechotą, cofania się — i była rzeczywiście pora po temu. Nacierająca bowiem coraz bliżej i nie będąca dalej jak o 600 kroków piechota moskiewska obsypywała nas gradem kul, czyniąc dosyć znaczne szkody w koniach i ludziach. W pierwszej chwili, kiedy zsiedliśmy z koni, pochwyciłem mój sztuciec i przyklęknąwszy, wziąłem na cel jednego dragona, stojącego może o jakie 600 kroków. Strzał padł — i dragon zsunął się z konia. Czy to była moja kula, czy też którego piechura, nie wiem, dość że dostałem ogólny poklask i wielu znalazłem naśladowców, ale rozkaz do odwrotu przerwał nam popisy strzeleckie. Przeszedłszy małą rzeczkę pod gęstym ogniem, dostaliśmy się do lasu, który nas w części zasłaniał od pocisków — piechota nasza także powoli się cofając i zabierając po drodze swych rannych, schroniła się do lasu. Pole, na którem odbyła się opisana utarczka, użyźniło się po raz drugi naszą krwią — przed 69 laty, w tem samem miejscu, w 1794 roku, stoczył Kościuszko bitwę z Moskwą i Prusakami, tak nazwaną w historji bitwę pod Szczekocinami.

Moskwa, poprzestawszy ognia, odpoczywała, a cały nasz oddział powolnym marszem zbliżał się do Szczekocin. Odetchnąwszy chwilkę i uporządkowawszy się, ruszyliśmy do Siedlisk, milę za Szczekocinami. Tutaj doniesiono Chmielińskiemu, że nieprzyjaciel wrócił napowrót do Kielc; wiadomość ta jednakże okazała się mylną, gdyż po przybyciu naszym do Biały, dowiedzieliśmy się, że Moskwa cofnęła się pozornie ku Kielcom, dla zamaskowania swych ruchów, w rzeczy zaś samej w nocy zwróciła się nazad i znajdowała się od nas o małą milkę. Oprócz tego dano znać, że dwa nieprzyjacielskie oddziały wyszły na nas z Piotrkowa i Częstochowy — byliśmy więc zupełnie otoczeni i w którą stronę zwrócilibyśmy się, wszędzie spotkalibyśmy wroga i to przeważnego co do liczby. Położenie było zastraszające i prawie nie do wyjścia — przytomność Chmielińskiego ocaliła nas. Dzieli on piechotę i kawalerję na drobne oddziały po 50 ludzi i rozsyła w różne strony, naznaczając punkt zborny w jednej wiosce około Włoszczowy. Był to pomysł prawdziwie partyzancki, i w skutkach okazał się nader praktycznym. Rozdzielenie to miało miejsce przed wieczorem, a nadeszła w niespełna godzinę Moskwa nie wiedziała jak się pokierować *), zeznania bowiem włościan nie na wiele im się mogły przydać. Dowiedzieli się, że powstańcy i tu i tam. Nadeszłe wojska z Częstochowy i Piotrkowa nawet śladu powstańców nie spostrzegły, a wedle obliczenia i wiadomości swoich, winni byli niezawodnie wyłapać buntowników co do jednego. Po złożeniu narady, uznali za stosowne powrócić do domu, ściganie bowiem drobnych oddziałków zmęczyłoby tylko żołnierza a korzyści żadnej nie przyniosło — sami zaś dzielić się na podobnie drobne części nie mieli ochoty czy odwagi. Fortel więc Chmielińskiemu najzupełniej się udał — szło mu bowiem głównie o czas, niezbędny warunek dla nowego zorganizowania swoich sił, zapełnienia luk powstałych w skutek bitwy pod Obiechowem i przyprowadzenia rzeczy do dawnego porządku. W bitwie pod Obiechowem mieliśmy 30 zabitych i 70 ranionych — o stratach Moskwy pewnych wiadomości nie było.

Na trzeci dzień wszystkie oddziałki zebrały się we wsi Kąty. Tutaj staliśmy dziesięć dni i cały ten czas Chmieliński poświęcił mustrze i porządkowaniu swoich ludzi. Nie pamiętam w ciągu całego powstania tak przykrych i ciężkich dni jak w Kątach. Przez tydzień przeszło deszcz lał jak z cebra, a służba była tak uciążliwa, mianowicie dla kawalerji, wysyłanej na ciągłe pikiety, patrole i rozjazdy, żeśmy zaledwie po parę godzin na dobę sypiali i to najniewygodniej, bo na wpół w błocie, przemokli, zgłodniali i zupełnie z sił wycieńczeni. Nie wiem skutkiem czego, ale brakło nam żywności i raz 24 godzin literalnie nic w ustach nie mieliśmy, a wieś była tak ogłodzona, że kartofla na lekarstwo by nie znalazł. Nareszcie odebraliśmy rozkaz gotowania się do marszu i na drugi dzień roztasowaliśmy się na dobre w pierwotnym obozie w Chlewskiej Woli, gdzie zdawało nam się jakoś wygodniej i bezpieczniej. Lud prosty mianowicie w tych stronach odznaczał się rzadką przychylnością i o każdym ruchu nieprzyjaciela natychmiast nam donosił.

W Chlewskiej Woli powtórnie staliśmy dwa tygodnie i oddział nasz powiększył się do 700 ludzi piechoty i 200 kawalerji *), zupełnie zaopatrzonej w rynsztunek wojenny. Dla czego Moskwa zostawiała tyle czasu Chmielińskiemu, dając mu możność należytego zorganizowania się i wyrobienia żołnierza? to dla nas było zagadką.

Pod koniec drugiego tygodnia naszego pobytu w Chlewskiej Woli, zdarzył się dosyć śmieszny wypadek, który w krótkości postaram się opowiedzieć. Kurjer naszego oddziału pan M***, wracając z Częstochowy, spostrzegł za miastem pod karczmą pijanego żołnierza moskiewskiego, w mundurze artylerzysty. Przychodzi mu koncept zabrać go ze sobą i przy pomocy swego woźnicy podnosi z ziemi żołnierza, pakuje na bryczkę i przykrywszy fartuchem pędzi z tym osobliwszym nabytkiem do obozu Chmielińskiego. Biedny Moskal musiał być ścięty jak bela, kiedy w ciągu sześciomilowej podróży nie zdołał się ocknąć. W obozie wyjęto go z bryczki, położono pod drzewem, czekając rychłoli się ocknie. Po paru godzinach zaczął się budzić, poruszać i w końcu podniósłszy głowę usiadł, spojrzał raz, drugi, przetarł oczy, coś mu się widać zdawało niepodobnem, gdyż znowu się położył. Po półgodzinnej drzemce, znowu podniósł głowę i zaczął się przypatrywać otaczającemu go obrazowi, kiwać głową, mruczeć i żegnać. Obudziło się w nim coś w rodzaju czarnego podejrzenia, poczytywał to za senne widziadło i obłęd nieczysty i znowu się położył. Ocknąwszy się poraz trzeci i widząc, że groźne widziadła nie ustępują i ciekawie na niego patrzą, zaklął duserem moskiewskim i wykrzyknął:

— Eto szto takoje, szto za czort! nie ponimaju!

Wtem nadszedł Chmieliński i „zdrowo brat„! jakby iskrą elektryczną podniosło na wpół odurzonego wrażeniami Moskala.

— Katoroj baterji? — pyta dalej Chmieliński.

— Czetwiortoj Wasze Błagorodie.

— A cztosz, nie uznajesz poruczika Chmielińskawo!

— Toczno tak wasze błagorodje.

— Nu brat, kak tiebie każetsa, ty gdie tiepier?

— Nie magu znat' wasze błagorodie.

— A żełajesz-li ty służyt' w polskich sołdatach?

— Kak prikażetie wasze błagorodie.

— No charaszo brat, stupaj tiepier kuszat'!

— Słuszajus! i odwrócił się niewinny artylerzysta lewo w tył i udał się prosto do kotła. Traf tak zrządził, że żołnierz ten niegdyś był pod komendą Chmielińskiego, służył bowiem w tej samej baterji co i on i odrazu go poznał. Nie mogła mu tylko ta metamorfoza, na żaden żywy sposób pomieścić się w głowie. Długi czas myślał, że to żarty i że wraz ze swoim porucznikiem powróci do artylerji, powtarzając ciągle,

*) Musimy tu uczynić sprostowanie. Podział ten, o którym autor mówi, nie nastąpił wieczorem. Owszem Chmieliński stał całą noc w Biały i mając zamiar o świcie wyruszyć, został napadnięty przez kozaków, którzy oddział rozpędzili. Skutkiem tego rozpędzenia dopiero, Chmieliński podzielił oddział. Bitwa pod Obiechowem miała miejsce dnia 14. sierpnia 1863 r. (Przyp. wydawcy.)

*) Znowu pomyłka, oddział Chmielińskiego nigdy nie liczył takich sił. Dwutygodniowe obozowanie w Chlewskiej Woli przywróciło oddział zaledwie do pierwotnej siły. (Przyp. wydawcy).

że to „nie ich dzieło.“ W tem oczekiwaniu doczekał się śmierci, w pierwszej bowiem potyczce, zdaje się pod Ciernem został zabity, a przez cały czas był ślepo posłuszny i literalnie spełniał każden rozkaz, ale tylko Chmielińskiego. Pijak był niepoprawny i to było przyczyną jego śmierci. Fakt ten przekonywa jak żołnierz moskiewski jest jeszcze ciemny; zdać sobie sprawę z jakiegoś czynu, rozróżnić obowiązek od występku, jest dla niego czemś w rodzaju węzła Gordyjskiego, lub niepojętych cudów natury. Nad rozwiązaniem kwestji przechodzącej jego zwierzęce i na wpół dzikie pojęcia nawet nie zadaje sobie pracy — całą jego zaletą jest ślepe posłuszeństwo i niewolnicza cześć dla despotyzmu. Prawdopodobnie w takich warunkach tylko, naród ten może być niebezpieczny i silny, w przeciwnym razie przy wrodzonej chytrości charakteru, surowości obyczajów i egoizmie, rozpadłby się dawno i służył niewolniczo ludom Wschodu po dawnemu. Ale wróćmy do naszego opowiadania. (C. d. n.)

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

Podróż dyliżansem w lecie ma swoje strony przyjemne, których odkryć nie umieją jedynie zrzędy z profesji. W zimie atoli jest to rozrywka, której zupełnie brak amatorów. Im lepiej kto jest odzianym, im staranniej ma otulone nogi, tem niewygodniej siedzi, a ponieważ pudło, w którem jest zamknięty, zatrzymuje się tylko raz na dwie godziny, przymus fizyczny, jakiego się doznaje, wytwarza i w umyśle podróżnego nadzwyczaj sztywne usposobienie. Tej to zapewne okoliczności przypisać należy, iż młode nasze małżeństwo w podróży do Krachenburga zachowywało się raczej tak, jak małżeństwo, które odprawiło już jubileusz najmniej siedmioletniej wojny domowej — tj. milczało i wypełniało długie godziny między popasami ową męczącą drzymką, którą znają zapewne wszyscy co podróżowali w ten sposób, i która porównać się da tylko ze snem chorego w gorączce. Wszystko atoli ma swój koniec, i tak tedy pewnego wieczora państwo Mitręgowie znaleźli się w Krachenburgu, w eleganckim saloniku hotelu *des Millionnaires,* na pierwszem piętrze, przy stoliku z herbatą. Kamerdyner, który im usługiwał, był niezmordowanym w deklinowaniu wyrazów »Herr Graf» i »Frau Gräfin». Komfort i elegancja otaczały ich w koło. Mimo to dr. Mitręga był nader małomownym, wydawał rozkazy suchym jakimś, tetrycznym tonem i odpowiadał półsłówkami na uwagi i zapytania p. Mitrężyny. Nic dziwnego, że po odejściu służbistego kamerdynera, p. Natalja rozpłakała się na znaną nutę: »Ty mnie już nie kochasz.» Spostrzegł się szanowny doktor, że posfolgował za nadto naturalnemu swemu złemu humorowi, i jął tłumaczyć się, że trudy doznane w podróży, tak fatalnie go usposobiły. W dalszym ciągu rozmowy przyznał się nareszcie, że miał małą nieprzyjemność na wyjezdnem, i opowiedział bez ogródki wszystko co wiemy o »pomyłce» prezesa Kluszczyńskiego. Dodał do tego — czego jeszcze nie wiemy — że na stacji w Wilkowie zmuszony był zaliczyć trzem klientom Banku Filodemicznego na rachunek przyznanej im zaliczki sumę 29.000 idealników, a to z powodu, iż w kasie tego zakładu okazał się był chwilowy brak gotówki, a nie można przecież było z góry zrażać ludzi, którzy tak młodą instytucję obdarzyli swojem zaufaniem. Pani Natalja, która nigdy w życiu nie miała nic do czynienia z interesami pieniężnymi, uspokoiła męża, że oczywiście Bank zwróci mu zaliczone pieniądze, jak to zresztą sam twierdził, a co do owej pomyłki obiecała, iż sama pomówi z papą, który nie omieszka uiścić się z różnicy. Rozchmurzył się powoli dr. Emanuel i powiedział sobie, że w istocie dysponuje nie 5, ale 16.000 idealników, i że na razie chodzi o to, jakby najgodniej użyć tej gotówki, jaką ma w kieszeni. Z planów, które ułożył na zasadzie tej uwagi, wypadło, że zaraz nazajutrz państwo Mitręgowie wzięli lożę w Wielkim Teatrze i oglądali balet czarodziejski, a trzeciego dnia pojawili się na balu publicznym, na którym, według sprawozdań gazeciarskich, *die schöne Gräfin M. aus Milizien* była zachwycającem zjawiskiem, a toaleta jej jedną z najświetniejszych. W ślad za balem poszło zwiedzenie jeszcze jednego baletu czarodziejskiego, a tym razem odwiedziło już pp. M. w ich loży dwóch młodych dyplomatów, których dr. Mitręga znał jeszcze z czasów swojej akcji politycznej w sprawie beocko-lapuńskiej i których na balu przedstawił był żonie. Tych zaproszono na następny dzień na objad do hotelu *des Millionnaires,*, a nazajutrz po objedzie jeden z nich przyniósł państwu M. zaproszenie na bal — u dworu. Niepodobieństwem było, ażeby p. M. wystąpiła w tej samej toalecie, którą poprzednio podziwiały dzienniki; trzeba więc było pomyśleć o innej. Co gorsza, potrzeba ją było zapłacić gotówką, i trzeba było wypożyczyć u jubilera garnitur z rubinów, bo szmaragdowy, wilkowski, także już bardzo szczegółowo opisany był w gazetach. Przebrzydły Krachenburgczyk miał w tym wypadku śmiałość żądania kaucji, na szczęście atoli kontentował się obligami Banku Filodemicznego, opiewającemi na hipotekę znanych nam dóbr Wielkie i Małe Znikło wraz z przyległościami, w nominalnej sumie 10.000 idealników — które to obligi dr. Mitręga zawsze miał przy sobie. Zważywszy, iż garnitur oszacowany był na 3000 idealników, suma ta była aż nadto wystarczającą. Bal u dworu wypadł przepysznie, tak sam dla siebie jak i dla p. Mitrężyny, która tańczyła walca z jednym księciem jakiegoś panującego domu i z dwoma dyplomatami, noszącymi historyczne nazwiska, podczas gdy dr. Mitręga otrzymywał w zagłębieniu okna od ministra chaockiego państwa zapewnienie, iż przyznanie mu tytułu barona nie ulegnie wielkim trudnościom, jeżeli dokumenta familijne są wystarczające i jeżeli zapłaci 5000 id. taksy. Pani Mitrężyna olśniona była własnym blaskiem i blaskiem, który ją otaczał, i czuła w duszy niezmierne uwielbienie dla męża, któremu zawdzięczała to wszystko. Nazajutrz po balu odesłano jubilerowi jego garnitur i odebrano obligi Filodemiczne. Zaraz potem pojawił się właściciel ekwipażu i liberji, który od ośmiu dni wypożyczał państwu M. te drobiazgi i obecnie upraszał o swoją należytość, wynoszącą 216 idealników. Dr. Mitręga sięgnął do pugilaresu i znalazł w nim idealników 220, z których po zapłaceniu właściciela remizy zostały mu cztery...

Była to, na razie, reszta pierwotnej połowy posagu pani Natalji.

Jeżeli się mieszka w hotelu *des Millionnaires,* gdzie od ośmiu dni rachunek jest niezapłacony; jeżeli się ma przed sobą podróż do Wilkowa, na którą potrzeba najmniej sto idealników, i jeżeli się ich ma tylko cztery w kieszeni, to nie na wiele przyda się człeku obietnica ministerjalna, iż może zostać baronem; ani też rozmnożyć zdoła nakształt pięciu chlebów biblijnych te cztery idealniki, fakt, iż pani dobrodziejka tańczyła wczoraj z księciem krwi jedną turę walca, jak o tem właśnie dzienniki poranne doniosły. Dr. Mitręga, znany nam z daru szybkiego i bystrego rozumowania, pojął to w mgnieniu oka. Zaczął się ubierać na prędce i zadzwonił na garsona, żądając, ażeby mu przyniesiono rachunek. Rzucił okiem na to pismo i przekonał się, że suma figurująca na dole wynosi nieco nad 400 id. Dodawszy do tego prezenta dla służby i koszta podróży do Wilkowa, potrzeba było dr. Mitrędze najmniej 600 idealników. Jeżeli kiedy, to teraz obligi Filodemiczne były jedyną kotwicą ratunku. Nie tracąc czasu, wydał dr. Mitręga rozkaz, iż zatrzymuje na dziś jeszcze remizę z liberją, wskoczył do powozu i popędził do biur grecko-portugalskiego Banku, który podjął się był spieniężenia obligów, o których mowa, i posiadał ich przeszło półmiliona w ogniotrwałych swoich kasach.

Poznano i przyjęto bardzo uprzejmie jrneralnego dyrektora Banku Filodemicznego z Wilkowa. Posadzono go na wygodnym fotelu i poczęstowano przedniem, oryginalnie hawańskiem cygarem. Poczem zagadnął go dyrektor grecko-portugalski:

— Przybywasz pan zapewne w sprawie wypłaty waszych kuponów, która ma nastąpić w przyszłym tygodniu?

Wygodny fotel stał się odrazu jakoś mniej wygodnym.

— Tak jest — odparł dr. Mitręga.— To znaczy... ja bawię tu chwilowo tylko, dla mojej przyjemności, z żoną, którą pojąłem przed tygodniem.

— A, gratulujemy, gratulujemy! A więc, co się tyczy kuponów...

— Co się tyczy kuponów, mniemam, że rzecz jest załatwiona. Wszak według umowy, macie je panowie wypłacić na nasz rachunek z pieniędzy wpływających ze sprzedaży obligów.

— To jest, mamy to uskutecznić

pod warunkiem, jeżeli pieniądze wystarczą. Tymczasem, sprzedaliśmy zaledwie 100.000 w obligach, po kursie 70 za sto — proszę, oto jest rachunek. Wynosi to zaledwie 70,000, a potrąciwszy naszą prowizję, i prowizję ajenta, 55.000. Z tego, według układu, mamy prawo zatrzymać 60.000 na pokrycie dalszej naszej prowizji, a więc brak nam jeszcze 5 tysięcy do zupełnego naszego pokrycia. Oprócz tego, półroczny kupon po 3% od sumy półmiliona, którą panowie emitowaliście za naszem pośrednictwem, wynosi 15.000 — razem przeto oczekujemy, iż panowie zechcecie remitować nam bezwłocznie 20.000 gotówką, dla uniknięcia następstw zwykłych w takich wypadkach.

— Ależ skoro panowie sprzedaliście tylko 100.000, jak wykazujecie, więc nie potrzeba jak 3000 na wypłatę kuponu, a prowizji od niesprzedanych obligów, przecież liczyć nie możecie!

— Co nam do tego! Oto jest czarno na białem umowa, spisana między nami, a panem i panem Kluszczyńskim, jako pełnomocnikami Banku Filodemicznego.

Fotel grecko-portugalski był już w tej chwili niewygodniejszym od owego płotu, na którym według przysłowia pies nawet nie może znaleść potrzebnego mu komfortu. Dr. Mitręga potrzebował 600 id., a tu żądano od niego 20.000. Postanowił atoli trzymać się do upadłego i nie kapitulować, chyba pod znośnemi warunkami.

— Zapewne — rzekł — że to stoi w umowie, ale stoi tam także, że w danym razie służy nam prawo wycofać z depozytu resztę naszych papierów i żądać *salda* naszego rachunku. Ponieważ panowie postępujecie sobie w ten sposób, więc nie zostaje mi nic, jak tylko trzymać się tego punktu umowy. Proszę tedy o wydanie reszty obligów i o saldo.

— Za pozwoleniem, a masz pan pełnomocnictwo Rady Zarządzającej?

— Jestem jeneralnym dyrektorem i nie potrzebuję pełnomocnictwa; zresztą mogę je sobie napisać każdej chwili.

— Bezwątpienia, ale według waszych statutów, potrzebuje ono do ważności swojej jeszcze podpisu prezesa albo jego zastępcy, upoważnionego do podpisu per procuram. Inaczej, uważać pana musimy jako osobę prywatną.

Dr. Mitręga rzucił o ziemię wonne hawana, które w tej chwili szkaradnie cuchnęło, i zerwał się z niewygodnego fotelu.

— Zapewne — rzekł — iż nie mam prawa działać na własną rękę w imieniu Banku, ale skoro przyjadę do Wilkowa, możecie panowie być pewni, iż wszelkie stosunki między nami będą natychmiast oficjalnie zerwane. Jednakowo uderza mię w rachunku waszym ten szczegół, że wykazujecie ze sprzedaży obligów 70 za sto, gdy kurs ich notowany jest na giełdzie po 90 za sto.

— Jest to kurs sztuczny: codziennie jeden z naszych ajentów kupuje, a drugi sprzedaje kilkadziesiąt sztuk, ażeby giełda notowała kurs, jakiego nam potrzeba. W istocie atoli sprzedaliśmy stotysięcy pewnemu domowi w Humbugu i drugiemu we Frantfurdzie po siedmdziesiąt...

— A wiecie panowie, jak się postępowanie takie nazywa wobec kodeksu?

— Hm, przedewszystkiem nie wiemy, gdzie leżą dobra ziemskie, o których jest mowa w tekscie obligów. Tych szczegółów jeograficznych potrzeba ponoś także szukać w kodeksie.

— Bank Filodemiczny postępuje ściśle według statutu, który pozwala mu emitować pewną ilość obligów bez pokrycia hipotecznego. Ale żaden statut nie pozwala sprzedawać obligi po 90, a liczyć klientowi 70, jak to panowie czynicie, ani też liczyć sobie prowizję od nominalnej sumy, skoro była mowa tylko o prowizji od gotówki.

— No, no, panie doktorze, jakoś to się wszystko ułoży; między dżentlmenami spory tego rodzaju nie mają sensu. Ha, nie sądziłem, żeś pan taki gorączka, gotów zaraz pędzić do sądu! To szczęście, że nie masz pan pełnomocnictwa w takiej chwili rozdrażnienia, i jesteś tylko, jak powiedziałem, osobą prywatną.

— Przyznałem już, że jestem tu i działam jako człowiek prywatny. W gruncie rzeczy, mam nawet do panów mały interes prywatny.

— Będziemy służyć z największą przyjemnością.

— Rzecz się ma tak, że bawiąc w Wiedniu dla mojej przyjemności, potrzebuję chwilowo nieco gotówki. Przypadkiem, mam tylko 10.000 w naszych obligach, pożyczonych mi na hipotekę moich dóbr w Milicji. Prosiłbym panów tedy, abyście mi papiery te wzięli w lombard.

— A, mój panie, to nie uchodzi! To zupełnie sprzeciwia się naszej umowie. Wszak Bank Filodemiczny zobowiązał się nie wydawać żadnych obligów, z wyjątkiem tych, które sprzedaje za naszem pośrednictwem. Nie możemy nawet uznać ważności papierów, które pan posiadasz, a tem mniej brać je w lombard!

— Mówiłem to w Radzie Zarządzającej, bo pamiętałem dobrze brzmienie naszej umowy, ale ci mieszczanie wilkowscy mają takie tępe głowy, że zamiast przekazać mi tę sumę u panów, zmusili mię do przyjęcia papierów wprost ze swego Banku. Ale mniejsza o to. Na wszelki wypadek nie odmówicie mi panowie przynajmniej zeskontowania wekslu na 1000 idealników?

— Oczywiście że nie, jeżeli podpisy są dobre. Czyj jest akcept?

— Mój.

— A żyro?

— Żyro... żyra nie ma... ale w razie potrzeby, podpisać może moja żona.

— Darujesz pan, ale mąż i żona, to zawsze dopiero jedna firma, a nam do eskontu potrzeba dwóch.

— Czy to ostatnie słowo panów?

— Najostatniejsze.

— Więc dobrze, żegnam!

— Polecamy się względom szanownego pana!

I tak skończyła się konferencja dra Mitręgi z dyrekcją Banku grecko-portugalskiego, którą powtórzyłem tu głównie, ażeby rzucić niejakie światło na stosunki Banku Filodemicznego, interesującego nas jako instytucja wilkowska, utworzona w ciągu tego opowiadania.

Wsiadłszy napowrót do powozu, dr. Mitręga zastanowił się powtórnie, co począć. Można było próbować »lombardu» w innym jakim banku, ale po doświadczeniach grecko-portugalskich operacja taka niewiele rokowała powodzenia. Można było przyznać się żonie do kłopotu pieniężnego, pożyczyć od niej jej szmaragdowy garnitur, złożony z djademu, naszyjnika, kólczyków i naramienników, i uzyskać na zastaw tych kosztowności pieniądze na zapłacenie hotelu i na drogę. Ale dr. Mitręga nie mógł się na to zdecydować, i tłumaczył się sam przed sobą, że przed kobietami należy ile możności taić podobne drobne przykrości, bo biorą je sobie zbyt mocno do serca itd. W istocie zaś dr. Mitręga, choć nie przyznawał się do tego przed sobą samym, nie chciał nawet wobec własnej żony przyznać się, do jakiej ostateczności jest przywiedzionym. Tymczasem myśl o szmaragdowym garniturze zrodziła w bystrym jego umyśle inną. Wychylił się z powozu i zawołał:

— Do jubilera Steinschleifa!

— Panie Steinschleif — rzekł, wyskoczywszy z ekwipażu, którego drzwi otworzył mu pożyczany, ale suto wygalonowany lokaj — nieszczęście mnie prześladuje: jeszczem się dobrze nie wyspał po wczorajszym balu dworskim, na którym, nawiasem mówiąc, pańskie rubiny przecudny efekt sprawiały, a oto dziś znowu musimy iść na wieczorek prywatny, i mojej żonie zachciało się znowu nowego garnituru.

— Służę z największą chęcią panu hrabiemu i pani hrabinie.

— Tylko, oczywiście, garnitur musi być tym razem skromniejszy.

— Pani hrabina ma ciemne włosy, nie prawdaż?

— Tak jest.

— W takim razie, jak sądzę, doskonale jej będzie do twarzy w tym garniturze z topazów.

— A cena?

— Dwa tysiące. Za wypożyczenie, dwieście.

— Co się zaś tyczy kaucji, zapewne tym razem mniejsza wystarczy?

— Kaucja stosuje się do wartości.

— Więc daję panu tutaj pięć tysięcy, w tych samych obligach, co pierwej. Jak pan widzisz w piśmie urzędowem, stoją one po 90, a więc zostawiam przeszło dwa razy więcej niż biorę, spuszczając się na firmę i rzetelność pańską.

— Panie hrabio, pierwszą cnotą kupca jest rzetelność! Czy mam odesłać garnitur do hotelu?

— Nie, wezmę go z sobą, bo moja żona prawdopodobnie śpi jeszcze. Tylko my nieszczęśliwi mężowie musimy czuwać o każdej porze, ażeby zaspokoić kaprysy tych pięknych czarodziejek. Adieu, panie Steinschleif!

— Najniższy sługa pana hrabiego, G'hoszamerdyner!

Podjechawszy jeszcze przez parę ulic, dr. Mitręga odesłał swój ekwipaż do hotelu a sam pieszo zaszedł przed dom, na którym umieszczoną była tablica z napisem: *Geld für Alles*. Tam, po dłuższem oglądaniu, próbowaniu, i targowaniu się, pożyczono mu na zastaw turkusowego garnituru 600 idealników, a właściwie, 564 po strąceniu procentów, z warunkiem wykupna za miesiąc. Rachunek hotelowy wyniósł z końcem tego dnia 430. Za remizę należało zapłacić jeszcze 27. Służbie »hrabia, nie mógł dać mniej jak 25, razem więc wydał 482 id. Dyliżans do Wilkowa kosztował 82 i tym sposobem suma 564 id. została wyczerpaną, a na drogę zostały tylko pierwotne cztery idealniki, stanowiące, jak mówiłem, resztę gotówki z posagu pani Natalji. Zważyszy, iż podróż miała trwać dwie doby, w ciągu których wypada sześć popasów, należało być bardzo oszczędnym, ażeby nie brakło pieniędzy. Gdy zaś w liczbie tych popasów znajdowały się dwa objady przy *table d'hôte* pocztowej, gdzie płacono idealnika od osoby, a osób było jak wiemy dwie, więc śniadanie i wieczerza były bez pokrycia w budżecie dr. Mitręgi — fakt tem bardziej opłakany, iż o kredycie w restauracjach podróżnych ani mowy być nie mogło...

Otóż w tej dopiero krytycznej chwili bohater mój dał dowód, że godzien był być bohaterem nie takiej lekko naszkicowanej powiastki, ale głęboko pojętej epopei, kroczącej na 13tu zgłoskach od rymu do rymu i zarejestrowanej następnie w historji piśmiennictwa ojczystego. Zmyślił niestrawność, pijał tylko czystą herbatę rano i wieczór, jadał przytem ukradkiem bułki i podłe fragmenta kiełbasy, jakiemi raczyli się pocztylionowie, nie siadał do *table d'hôte*, ale z zaparciem się własnego żołądka sadzał przy niej żonę i postępując w ten sposób, w chwili przyjazdu do Wilkowa znajdował się tylko o krok od śmierci głodowej, ale z ostatniego idealnika miał jeszcze pięćdziesiąt i pięć mizeraków w kieszeni!

Nie będę w tej chwili opowiadał, jak dalece pani Natalja była »*anszantowaną*« ze swego pobytu w Krachenburgu, jak zdawała ojcu i matce sprawę ze wszystkich świetności, które ją tam spotkały, jak pani Swatalska zarówno z nią była dumną z »Mania,« jak panny, znajome niegdyś i przyjaciółki panny Natalji, zazdrościły jej losu, itd. Zakończę tylko opowiadanie o tej pamiętej podróży szczegółem, który w rzeczywistości był jej zakończeniem.

Oto, zaledwie się państwo rozgościli — a było to o ósmej rano, Marcin podając surdut swemu panu rzekł z głupkowatym uśmiechem:

— Jak to docrze, *co* państwo *ju* przyjechali!

— A to dla czego?

— Bo proszę jaśnie pana, kucharz już wczoraj nie miał pieniędzy na kupno i my nic nie jedli. A dziś także nie ma dla państwa śmietanki do kawy, ani bułek.

— Głupiś! Masz tutaj pieniądze (tu doktor cisnął mu wymienioną powyżej ilość mizeraków) idź, kup śmietanki i bułek. A mówiłem ci przecież gamoniu, że jak braknie pieniędzy, to masz pójść do kasy w *Orędowniczce!*

— Prawda *co* jaśnie pan mówił, ale...

— Ale co?

— Kasjer powiedział, *co* w kasie nie ma pieniędzy, i *co* nie ma czem zapłacić za druk i za papier, a panowie w redakcji na pierwszego ani jednego mizeraka nie widzieli.

— Głupiś! Idź precz! — zawołał doktor, i pobiegł do Redakcji *Orędowniczki*. Dlaczego nie do Banku Filodemicznego, gdzie przecież pobierał znaczną pensję? Wyjaśni się to zapewne swojego czasu. Na razie wystarczy wiadomość, że kucharz pp. Mitręgów czekał tego dnia do 11-tej przed południem, nim mu dano pieniędzy na kupienie ingredjencyj potrzebnych do zgotowania pierwszego objadu, który zjadł na swojem gospodarstwie dr. Mitręga, ożeniwszy się z jedynaczką pp. Kluszczyńskich i z posagiem podawanym od stu tysięcy do pół miljona. A obiad ten należał mu się przecież wcześniej, zważywszy nadzwyczajną dyetę, jaką zachował w drodze z Krachenburga! (C. d. n.)

Do płaka marzeń.

Oj płynie, płynie, bystra rzeczułka,
Płynie falami srebrnemi,
A myśli trwożnych, czarna jaskółka
Krąży daleko od ziemi.

Leć, leć wysoko, marzeń ptaszyno
Nieś na skrzydełkach swych żale,
Rzuć je obłokom, co ciche płyną
Po jasnym nieba krysztale.

A jeśli w górze, wicher złowrogi
Pokruszy skrzydła twe lotne,
I strąci z białej aniołów drogi,
To wracaj w serce samotne.

O nie! Rzuć serce, zraniony ptaku,
Ani się zimnej skarż ziemi,
Gdy ci nie wolno po nieba szlaku,
To płyń z falami srebrnemi!

Warszawa 1880.

Florentyna N.

W walce z duchem.

Gdyby to można, z ziemskiej powłoki
Wyzwolić ducha! Ducha potęgą
I płomienistą błyskawic wstęgą
Przebiegać chmurne obłoki!

Gdyby to można uciec od Ziemi
I utkwić w górze gwiazdą promienną,
By z tamtąd w światów przestrzeń bezdenną,
Patrzeć oczyma złotemi.

Gdyby się zmienić w świt rubinowy
Lub łukiem tęczy lśnić się w potoku;
I na wilgotnym od łez obłoku...
Rozwiać jej sztandar stukolorowy...

O! nie gardź duchu ziemską powłoką;
I nie błyskawic ognistą wstęgą —
Lecz poświęcenia cichą potęgą,
Rozbłyśnij w świecie szeroko.

Nie! Ty nie możesz być zbiegiem z Ziemi,
I skryć się między gwiazdy iskrzące...
By tam — w nadziei zgliszcza gasnące —
Patrzeć oczyma złotemi.

O! Precz te myśli! Te mary mgliste...
Hańba duchowi! rwać się ku górze,
Gdy pod nim, w dole, gromy i burze!
Pustoszą niwy ojczyste.

Nie tobie duchu, stukolorowym
Sztandarem tęczy lśnić się w obłoku
Ty się w łez bratnich przejrzyj potoku;
W potoku bratniej krwi — rubinowym!

A gdy się spełni twa ziemska droga —
W tych łzach i w krwi tej zbrócz skrzydła białe!...
I tak zbroczone, w purpurze całe,
Nieś je przez niebo całe — do Boga!...

Warszawa 1880.

Florentyna N.

Z intermezzo.

Szeroki obiegając świat,
Widziałem cudów tyle!...
Widziałem też cudowny kwiat
Co kwitnął — jedną chwilę...

A potem znikał, zda się, gasł,
Jak płomyk w wód topieli;
Starce, mówiono tylko raz
Za życia go widzieli...

Ja kwiatu tego szukać sam
Nie mogę już po świecie —
Lecz za to w piosnkach mówię wam
Tak często o tym... kwiecie...

* * *

«Miłość» — mówili mnie jedni —
Mądre ich słowa!
«To cacko, to chleb powszedni,
«Żądza chwilowa».

«Miłość» — mówiło znów wielu —
Mądre ich zdanie!
«To marna podróż bez celu
«W marzeń otchłanie».

«Miłość — wołałem — to życie!
Czar, upojenie!...»
Gdy serca przycichło bicie
Rzekłem: «Złudzenie!»

* * *

Ile razy ją pytałem,
Czy choć trochę kocha mnie,
Zawsze: tak! mówiły oczy,
Lecz usteczka: zawsze — nie!

Czesław.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

(Ciąg dalszy.)

Upłynęło lat dwanaście od tego czasu, o Wiktorku i jego utalentowanej żonie zapomniałem już na dobre, gdy losy zagnały mnie do Lwowa. Idę po wałach Hetmańskich, idę trzymając chustkę przed nosem, jak to jest we zwyczaju u wszystkich porządnych ludzi, mających jeszcze jakie takie powonienie, gdy czuję ktoś mię łap z tyłu za oba ramiona.

— Zgadnij Józiu! — woła piskliwy głos za mną. Chcę się obrócić, ten ktoś nie pozwala, zaczynam się tedy niecierpliwić.

— Mój panie — rzeknę — oczów nie mam na plecach, pozwól niech cię zobaczę.

— No poznajesz? -- pyta jakiś przygarbiony człowieczek w szafirowych okularach, stając przedemną.

Patrzę — niby to jeszcze nie stary, ale z pomarszczoną i wychudłą twarzą. Długie, nieco siwiejące włosy, rozdzielone pośrodku głowy, spadają mu jak druciarzowi na kołnierz; czarny surducik dobrze wytarty i poplamiony na klapach, twarz cała zarośnięta, a buty cokolwiek za obszerne zadzierają nosy niby sanice u sanek. — Nie mylę się — to będzie albo artysta jaki, albo przynajmniej literat-poeta.

— A to psiakość słoniowa, jaką masz słabą pamięć!

— Wiktorek! — mówię, poznawszy go po owej psiej kości. I dalejże całować się po szlachecku.

— Mój drogi, masz czas? — rzecze do mnie po chwili.

— Mam.

— To proszę cię, pójdź ze mną. Idę w ważnym interesie do jednego artysty i muszę u niego być przed dziesiątą; podprowadzisz mnie do jego mieszkania... Mamy dopiero pół... Dziś u mnie wieczorek muzykalny na imieniny Anielki... Spodziewam się, zrobisz nam tę przyjemność, a ten Klapiński, do którego idę właśnie, gra na wiolonczeli... To się Malwinka ucieszy... Psiakość, niechże cię nie znam, jak ty wyglądasz dobrze.

Idziemy tedy; mój Wiktorek ciągle wyrywa się naprzód, z miną pieska, prowadzonego na sznurku. Widocznie chciałby mię przynaglić do szybszego chodu. Pytam co on tu robi...

— Ja już dwa lata mieszkam we Lwowie i nie żałuję. Edukujemy Anielkę na artystkę...

— Któż to jest ta Anielka?

— Kto? najstarsza córka moja, uważasz, lat ośm, cudowne dziecko!... Psiakość słoniowa, jaki talent... Oooo jaki talent... Eh co ja mówię, to genjusz, jak pana Boga kocham... Wystaw sobie, rżnie ci Erlköniga jak stara artystka, prosto z z pamięci... na serjo mówię, z pamięci.

— No, dobrze to wszystko — odzywam się, skoro mi daje przyjść do słowa — ale cóż twoje gospodarstwo?

— Gospodarstwo? Dawno puściłem je w trąbę razem z kochaną proszowską okolicą. To woły, to po prostu sztuki mięsa, a nie ludzie... Gdzież osobom, mającym jakiebądź artystyczne poczucie, żyć między nimi!... U nich krakowiak — to cała muzyka. Smutna rzecz, jak Boga kocham, do czegośmy doszli!... Malwinka biedna te pięć lat, któreśmy tam przesiedzieli, odpokutowała jakby na Syberji. Powiada, ja ci tu zaśniedzieję, ja ci tu umrę z tęsknoty za ludźmi... Przyszły te wypadki, wiesz, ściągnęli mnie djablo... więc myślę sobie, psiakość, czego ja tutaj mam ślęczyć i żonę zabijać... Sprzedałem, pojechaliśmy za granicę, Malwinka kształciła się w Medjolanie, a teraz mieszkamy sobie tutaj, tak...

— I nic nie robicie?

— Ale cóż znowu! Żona moja daje lekcje śpiewu, tylko uważasz, prawie z grzeczności, w wysokich domach... Zresztą musiałeś słyszeć coś o pani Malvini... bo to moja żona przybrała takie nazwisko zagranicą... Sam przyznaj, musiała... jakby to wyglądało na afiszu... pani Wielogrochowa etc...

— Więc występowała publicznie?

— Człowieku! A zkądże ty przyjeżdżasz? Jakto, nie czytałeś?

— Nie.

— No to musisz... Cały tom gazet oprawnych mam w różnych językach, gdzie o niej napisali... Historje, mówię ci: słowik, syrena, bogini i Bóg nie wie jak ją tam nazywali... Anglik jakiś gwałtem chciał jej gardło kupić.

— Co też ty gadasz?

— Jak pana Boga kocham, mam list po angielsku pisany... naturalnie po śmierci... Dawał coś dwieście czy dwa tysiące funtów szterlingów... pokażę ci...

— I sprzedałeś?

— Aaa Juziu, kochanie, za cóż mię ty masz? Czy ja to szlachcic z proszowskiego?... Ho ho, oniby sprzedali... Powiadam ci, taka się tam zrobiła spekulacja teraz... że nic, tylko im grosz w głowie...

— To tak — mówię zdążając za Wiktorkiem, który w parę sekund wyprzedziwszy mię na trotuarze, znów staje i drogę mi zastępuje — szczęśliwy jesteś człowiek, żeś trafił na tak sławną artystkę... winszuję... winszuję... A teraz czy jeszcze występuje?

— Występuje, ale jako amatorka... Gdzież tu u nas we Lwowie inaczej można...

— W operze...

— Kpisz czy o drogę pytasz! Tu, w takim partykularzu, pani Malvini?

— No, jechać za granicę?

— Mogłaby... — mówi robiąc kwaśną minę i oglądając się na wszystkie strony — ale uważasz — dodaje ciszej nachylając się ku mnie — utyła... Jak Boga kocham, tak ci się kobieta rozbuchała i tu, i tu, i tam... — kończy pokazując rękami na sobie — że strach... Psiakość słoniowa, nie uwierzysz, co nas już ta kuracja kosztuje. Trzy razy jeździliśmy do Karlsbadu, raz do Szwajcarji, prowadziłem ją całemi dniami po górach, karmiłem winogronami... i nic... Przeszłego roku ubyło jej dwa funty. Chwała Bogu, myśleliśmy że zacznie się decrescendo, a tego roku, psiakość słoniowa, przybyło cztery...

Wiktorek ciężko westchnął i z desperacji załamał ręce.

— No, ale mimo to jesteś szczęśliwy ze swoją żoną?

— Oooo... kompletnie szczęśliwy! Proszę cię co to jest — mówi zastępując mi drogę i wkładając ręce do kieszeni — być mężem europejskiej kobiety?... Bo przyznasz, Malwinka jest europejską...

— I takie życie nie znudzi cię?

— Mnie? — Bój się Boga, ja cały dzień jestem jak w deptaku i żebym miał drugie dwie ręce a zwłaszcza drugie dwie nogi...

— Byłbyś kompletny wół roboczy, co? — przerywam mu, klepiąc po ramieniu.

— Ty zawsze taki sam!... Proszę cię, Malwinka żyje w artystycznym świecie, a na mojej głowie cały dom... Dzieci Bóg dał troje, a wszystko z talentem... Niusia, druga z kolei, już gra na fortepianie, a hultaj Wiktorek prawdziwy tragik... Mówię ci, psia kość chłopak jak ci stanie tak (tu Wiktorek senior pokazuje jak Wiktorek junior staje) — i tupnie nóżką i powiada: »ja tak chcę« — to taki berbeć śmieszny niby Rossi...

Objaśniam czytelników, że mój kolega prowadząc mię po różnych ulicach Lwowa, co kilka minut kogoś z przechodzących zaczepiał, dla pomówienia z nim słów parę, to mię przepraszał, że na minutkę musi wstąpić do księgarni po nuty, to do sklepu po zamówiony wieniec dla Anielki.

— Uważasz, wypada dziecku zrobić tę przyjemność...

— Naturalnie.

— A więcej matce, bo to jej uczennica... Drobnostka, wianuszek... i te kilka łokci wstążki, ale to zachęci... Ot jak to dobrze że jesteś... Mój drogi Józiu, ty jej doręczysz niby od siebie... jak mię kochasz, kolego...

— Ja na tem się nie znam...

— Mrugnę na ciebie niby... zmiłuj się, Malwinka cię ucałuje — zrób to...

Zgodziłem się, ależ przyznam się czytelnikom, to ucałowanie Malwinki ze względu na jej dopiero co opisaną tuszę, wcale mi było nie na rękę... Taka twarz księżycowa i zapewne spocona miałaby się przyłożyć do mojej twarzy... za nic w świecie!...

— Ale powiedz mi kochany Wiktorku, — mówię ocierając pot z czoła jakby już ów zapowiedziany pocałunek był spełnionym faktem — Zkąd ty, taki szlachcic, z urodzenia hreczkosiej, taki zakamieniały proszowiak, mogłeś się przerobić na artystę?...

— A widzisz, co to znaczy utalentowana europejska żona! Djabli wiedzą kiedy i jak nauczyłem się także śpiewać.

— Jakto i ty śpiewasz?

— Dobry sobie jesteś, dlaczegożbym nie miał śpiewać.

— Bo pamiętam w szkołach, Kasprzykowski, przypominasz sobie, ten mały nauczyciel śpiewu mówił, że ty nie masz nie tylko jednego ucha, ale pięciu uszów...

— A jednak się wyrobiłem i powiadam ci psiakość słoniowa tak ci rżnę w chórach.

— Z nut?

— Z nut, cóż to tak trudnego... Z Hugenotów ci rżnę... z Normy ci rżnę... Ej, Józiu, Józiu serce ty moje, jaki by z ciebie był basista... Ja widzisz altem. Również pamiętam Kasprzykowskiego w Kielcach, i pamiętam owe śpiewy przy ołtarzach na Boże Ciało, kiedyśmy się to u Pilza uczyli w jego salonie... Wiesz tego inspektora Niemca.

— No wiem, któżby go zapomniał...

— Dziś jeszcze mam w uszach twoje solo basowe — mówi zatrzymując się przedemną i śpiewając pół głosem: »Pod przymiotami ukryty chleba«. A my zaraz chórem: »Otocz go w koło rzeszo wybrana... Przed jego Bogiem zginaj kolana... Zginaj kolana!... A ta psiakość gruby Pilz rzępolił mi na skrzypcach za uchem: »w *kolo w kolo*... i rzeszo *wibrana*... No, Józiu, wiesz co, zapisz się do naszego chóru... Zobaczysz jak nam czas przyjemnie będzie schodził... Daj rękę...

— Gdzież ja tam do śpiewu, nie mam czasu...

— A to już, jak Boga kocham czysta herezja!... W Szwajcarji nie ma mężczyzny, żeby nie śpiewał...

— Ja bo piszę...

— Słyszałem, słyszałem, choć psia kość słoniowa nigdy nie miałem czasu przeczytać twoich rzeczy... Ale a propo tego pisania, dobrze żeś mi przypomniał... Musisz mieć stosunki z redakcjami pism tutejszych?

— Tak, trochę...

— Józiu, zbawco mój, kolego serdeczny — rzecze składając ręce przedemną — wytnij mi artykulik do gazety o dzisiejszym u nas wieczorku... Uważasz parę słów w tym guście: Wczoraj u państwa Wielo... (nie pisze się całego nazwiska) znanym z pierwszorzędnego zamiłowania do artyzmu, doświadczyliśmy anielskiej przyjemności... lub coś w tym rodzaju... Anielcia rzeczywiście jest cudownem dzieckiem... zobaczysz...

— Ależ ja nigdy recenzyj muzycznych nie pisałem...

— Co to szkodzi... U nas każdy je pisze kto tylko umie pisać i dobrze jest... Poproszę w redakcji starszego zecera, on tam wsadzi gdzie do kroniki... A widzisz, mnie na tem wiele zależy... Anielkę chcemy posłać do Liszta... Staruszek pisał tu już do jednego znajomego pana, że tyle słyszał o niej... Psia kość jak to sława idzie szeroko, hę?... A chciałbym — mówi mi do ucha — dostać stypendjum jakie dla niej od sejmu...

— Albož sejm daje?

— Daje, jak Boga kocham... Uważasz trzeba tylko rozgłosu. Każden talent u nas — to sprawa narodowa... to zaszczyt dla kraju... Dla takich rzeczy coś się robi... Mój drogi napiszesz tedy.

— Ha, kiedy już taka sprawa, napiszę.

— Ale trzeba coś i o matce wtrącić, tak niby... Daję ci słowo uczciwości, ona ją własną piersią...

— Europejską — dodaję poważnie.

— Masz rację, europejską, przez dwa lata karmiła, a teraz przelewa na nią w dalszym ciągu swój geniusz. Ty myślisz, że ja przesadzam — nie, ja to mówię nie jako mąż lub ojciec, ale jako człowiek bezstronny. Należy się, daję ci słowo, wdzięczność i uznanie obydwom...

(Dok. n.)

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

napisał

MARCELI TURKAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Nietylko owe rzadko się pojawiające, a częstokroć stronnicze doniesienia o rozwoju prowincjonalnych miast i miasteczek, o ich życiu politycznem, społecznem, autonomicznem, i towarzyskiem, w naszych dziennikach stołecznych, w owej zcentralizowanej prasie, której u nas tyle się zarzuca, wywołują potrzebę prasy prowincjonalnej na mniejsze rozmiary, ale także miejscowe stosunki. Stosunki te tak się nieraz szczęśliwie składają, że z podnoszącem się wykształceniem, z żywszym ruchem ekonomicznym i handlowym można mieć i dostateczny materjał dla takiego pisma i znaleść odpowiednią liczbę stałych prenumeratorów. Żywe tego dowody widzimy w innych krajach, prowincjach a nawet u nas: w Królestwie Polskiem, w W. Ks. Poznańskiem i na Szląsku. Za granicą posiada każde prawie większe, gdzieniegdzie i małe miasto osobny swój organ. Prasa prowincjonalna jest niezbędną dla życia społecznego, ponieważ zajmując się w szczupłych ramach interesami pewnej tylko okolicy, może podawać tem dokładniejszy obraz jej działalności, ponieważ umieszczając sprawozdania z posiedzeń rad powiatowych, miejskich i szkolnych, stowarzyszeń i t. p. obala dotychczasową ich tajemniczość, obznajamia interesowany ogół z ważnemi sprawami, dotyczącemi tego miejsca i pobliskiej okolicy. A jeśli do tego nie pomija ruchu naukowego, gospodarskiego, przemysłowego, handlowego i t. d. staje się przez to kroniką nader cenną dla kraju, a tem samem oddaje całemu społeczeństwu ważne usługi.

Galicja, jak w wielu innych względach, pozostała i w tej mierze w tyle po za innemi prowincjami dawnej Polski. I tak mimo panującego pod zaborem rosyjskim ucisku, mimo samowoli pedanckiej cenzury, znajduje się w Królestwie prowincjonalne gazeciarstwo w pełnym kwiecie, istnieje bowiem: w Kaliszu »*Kaliszanin*«, w Kielcach «*Gazeta Kielecka*« (wychodząca trzy razy tygod.) w Lublinie dwie: »*Gazeta lubelska*« (codzienna) i »*Kurjer Lubelski*« (trzy razy tygodniowo), w Piotrkowie »*Tydzień*« (tygodnik), w Płocku »*Korespondent Płocki*« (dwa razy tygodniowo), dalej w Radomiu, Łodzi i t d., a gdyby dziś rząd rosyjski powstaniu i rozwojowi gazet małomiejskich nie stawiał ogromnych trudności, ani wątpić o tem, że nie tylko w każdej miejscowości większej w Królestwie, ale i na Litwie, Rusi czyli w t. zw. zabranych prowincjach zawiązałyby się kółka literackie; choć także wpływa na to i większe poczucie obowiązków obywatelskich, wyżej stojąca oświata i lepszy dobrobyt kraju, jak u nas. Również pod zaborem pruskim, gdzie z powodu ustroju konstytucyjnego bardziej sprzyjające dla prasy istnieją stosunki, widzimy n p. w Bytomiu (na Szląsku głodem przyciśnionym) trzy gazety tj. »*Gazeta Górnoszląska*», »*Postęp rolniczy,*« i »*Monika*« (pismo dla matek chrześciańskich), w Chełmnie »*Przyjaciel ludu*», w Mikułowie »*Katolik*«, w Pełplinie trzy organy dla różnych wyznań: »*Gazeta Łęcka*«, »*Nowiny*« (luter,) i »*Pielgrzym*« (katol. trzy razy tyg,), w Poznaniu 14 gazet, w Pszczynie na Szląsku »*Szląsk*« w Toruniu trzy gazety, w Wielkich Strzelcach »*Głosy pokoju*« dla ludu rzym. kat.« itd. — Nawet w Cieszynie wśród zgermanizowanej ludności znajdziemy trzy pisma, z których »*Gwiazdka Cieszyńska*« od ćwierć wieku stoi na straży polskości i znakomite tam dla sprawy narodowej pozyskała siły. A u nas co dotychczas zrobiono?

Były wprawdzie szlachetne w tym celu usiłowania, a nawet sporadycznie zjawiały się niektóre perjodyczne pisma, np. w Tarnowie »*Gwiazda*«, w Stanisławowie »*Hasło*« i »*Podkarpacka Gazeta*«, w Kołomyi „*Ogniwo*,“ w Tarnopolu dobrze redagowany „*Świt*“ itp., ale te albo już w zarodzie nosiły zadatek śmierci, albo po krótkiem istnieniu musiały upaść. Na ten nieustanny upadek prowincjonalnych pism składały się różne okoliczności, o których niżej pomówimy. Tu tylko zaznaczamy smutny fakt, że obecnie wychodzą na prowincji tylko dwa pisma polskie, tj. w Przemyślu „*San*“ i w Stanisławowie „*Kronika*.“ Jako pismo społeczno-ekonomiczne, nawet częściowo literackie, zajął „*San*“ pważne na podgórzu stanowisko, zdołał już przebyć żywot półtora roku i jeśli tylko redakcja w tym samym dążąc kierunku ograniczy swój program do sąsiednich powiatów: Jarosławia, Jaworowa, Mościsk, Dynowa itd. rozwinie fejleton i wydawać swe pismo będzie choć dwa razy na tydzień, niewątpliwie świetne będzie miał ten organ powodzenie i z pewnością zdoła się utrzymać. „*Kronika*“ zaś musi dokładnie określić swój program, obejmując przynajmniej okoliczne powiaty Halicza, Mariampola Nadwórny itd., a przy redagowaniu brać sobie wzór z „*Sanu*“, wtedy z czasem wyrobić sobie potrafi w Stanisławowskiem szeroką wziętość.

V.

Rzeczywiście wpada to każdemu w oko, dlaczego podejmowane w tym kierunku usiłowania nia przywiodły do należytego rezultatu, dla czego takie pisma prowincjonalne drukowane ze znacznym nakładem i uzbrojone chęciami najlepszemi, popadały? Jestto według nas bardzo ważne pytanie, i to tem ważniejsze, iż podobne próby są zarówno złym przykładem, jak i cenną przestrogą dla następców. Nie ma bowiem nic gorszego i szkodliwszego dla oświaty i dziennikarstwa, jak jeśli ono zawiedzie nadzieje i oczekiwania czytelników, i zniechęci ich nieregularnem wydawaniem do czytania druków, do których przywykli; źle jest: z hałasem i górnemi obietnicami rozpoczynać dzieło, a niebawem zwijać chorągiewkę

i kończyć bez jakichkolwiek korzystnych następstw!...

Pierwszym a zarazem kardynalnym błędem takich upadłych pism było niedokładne obliczenie się wydawców z kosztami druku, redakcji i administracji; mylnie bowiem sądzono, że podobne przedsiębiorstwo liczyć może zaraz na początku, iż się wydatki w jednym lub dwóch miesiącach w dwójnasób wrócą, iż szczupły kapitał zakładowy dobrze się będzie rentował. Żałowano niebawem złożonej kaucji, która w gotówce kasie rządowej oddana, była martwym, bezprocentowym kapitałem. Wydawca obawiał się nieco poforsować i wiele numerów na okaz drukować, aby nie nadwerężyć za nadto funduszów. Inni zaś literaci bez majątku, uzyskawszy u jakiegoś mecenasa niezbędną kaucję, zawarli prywatną umowę z zarządcą drukarni w sprawie wydawnictwa pisma prowincjonalnego, w którem musieli obficie kadzić i jednemu i drugiemu, i ich rodzinie, następnie innym dobrodziejom dla widoków i prenumeraty, a gdy niespodziewane powody zniecierpliwiły i nakłoniły mecenasa do cofnięcia kaucji, a na domiar złego drukarzowi trudno było zbyt długo czekać na uiszczenie warunków zawartego kontraktu, rozsypał czcionki i gazeta nie ujrzała już światła bożego. Ślepa ta zawisłość od osób po za redakcją stojących i krępowanie się ubocznymi względami zawsze powstrzymywały maszynę dziennikarską, szkodziły interesom gazety, a niesumienne i nieregularne wydawnictwa zniechęcały do reszty prenumeratorów.

Drugą niemniej ważną wadą i przyczyną upadku pism prowincjonalnych było to, że osoba redaktora zażywała nieszczególnej u miejscowej publiczności reputacji, była figurą podrzędną, czasem ogólnie znienawidzoną, ze złej strony znaną, co wszystko nie dawało rękojmi, iż prawdziwa miłość prawdy i bezinteresowność powoduje wydawcą i redakcją przy wydawaniu gazety. Dlatego znalazło się za szczupłe grono stałych prenumeratorów, aby za ich poparciem mogło się pismo utrzymać. Częstokroć sam redaktor i jego współpracownicy nie posiadali odpowiednich warunków do wielce trudnego redagowania pisma, w którem rozmaitość i wytrwałość powinna iść w parze z głęboką nauką i wszechstronną wiedzą. Zwyczajnie była to małoznacząca w literaturze osobistość, płytko wykształcona, bez należytego przygotowania i rutyny dziennikarskiej, bez stosunków z głośnymi literatami, nie obznajomiona z przeszłością, dziejami, stosunkami miejscowemi i okolicznemi. Jakżeż mógł taki redaktor z swem szczupłem gronem reporterów reprezentować opinią prowincjonalnego okręgu?

Dodajemy i to dalej, że taki szermierz pewnego stronnictwa lub politycznej partji chciał od razu być trybunem demokracji lub liberalizmu, i w tym celu poniewierał naszą przeszłość i szczytne porywy ducha, z szorstkością walczył ze stanami wyższymi, nieuszanował ani religijnych, ani politycznych przekonań czytelników, ze szczytu Olimpu rozbierał najzawiklejsze kwestje i takie, które najmniej były na czasie. Zamiast aby miał powoli i rozważnie jednać sobie szersze koło czytelników, skupiać około swego „dziecka" większe grono współwyznawców i ziomków, szamotał się i rzucał taki redaktor na wszystkie strony bez żadnej uwagi, dziś czernił tego, jutro denuncjował owego, nikogo nie poprawił, a siebie zgubił, ponieważ co raz bardziej tracił na początkowej sympatji pewnej garstki; ubywało dawnych przedpłacicieli, nowych nie przybywało, aż... osiadł na lodzie.

Uważamy i to za rzecz wadliwą, którąśmy w gazetach spostrzegli, że albo niewyraźnie określano program, albo czasem za górnolotne czyniono obietnice których oczywiście dotrzymać nie zdołano. Skutkiem tego nie umiano zainteresować miejscowej i okolicznej publiczności sprawami, któreby rzeczywiście na interes i zajęcie zasługiwały; posiłkowano się przedrukami z innych gazet lub broszur; z czasem zabrakło współpracownikom twórczości i ciągłej pomocy z pobliskiej okolicy; w pojedyńczych numerach nie było stałego podziału artykułów n. p. wstępnego ustępu, sprawozdań z czynności władz, instytucyj, towarzystw, kroniki, fejletonu, naukowych rozpraw, gospodarskich i ekonomicznych zapisków i tp.; nie postarano się nawet o niezbędne inseraty, słowem: świeciły tam niebawem same pustki! Że takie pismo nigdzie, a tem mniej na prowincji, nie mogło liczyć na pokup i egzystencją, samo się przez się rozumie. Przysłowie mówi: „Jak cię widzą tak cię piszą." Wytrawny znawca prowincjonalnego życia i zachcianek partykularnych potrzebował tylko raz rzucić okiem na jeden numer podobnej gazety, ażeby zawyrokować o wartości całego wydawnictwa i przepowiedzieć mu z góry rychły upadek.

VI.

Z kolei chciejmy teraz poznać przyczyny, które zakładaniu i rozwijaniu się prasy prowincjonalnej stoją u nas na przeszkodzie. Najprzód sama ustawa prasowa w Austrji, wydana 17. grudnia 1862 roku, jest w wielu punktach za uciążliwą do wykonania i powinna była w ciągu ostatnich ośmnastu lat uledz rewizji, w duchu liberalniejszym i odpowiednio do konstytucyjnych ustaw państwa.

Żąda ona między innemi w §. 13. złożenia kaucji od pism, które częściej jak dwa razy na miesiąc wychodzą, skoro tylko omawiają polityczne, lub religijne, lub wreszcie społeczne kwestje; a według §. 14. t. u. winno się u nas składać od codziennych lub częściej jak trzy razy tygodniowo wychodzących gazet kaucję od 2000 do 6000 złr.; połowa zaś tej sumy przypada w tym razie, jeśli one trzy razy tygodniowo wychodzą. Stosownie do liczby mieszkańców miast naszych musi pismo wychodzące raz, dwa lub trzy razy tygodniowo na prowincji, mieć kaucję 1000 złt. Jestto sądzimy, przy powstaniu gazety prowincjalnej wysoka rubryka, niewielu bowiem znajdzie się w możności złożenia tej kwoty, która obrócona na wydatki początkowe redakcji, zapewniłaby pismu większe powodzenie, a nie leżała bez celu w kasie rządowej. Wprawdzie ustawa dozwala w §. 14. ust. b. składania kaucji w obligacjach lub kredytowych listach według bieżącego kursu, a rozporządzenie ministra finansów z dnia 16. lipca 1863 r. przyznaje właścicielowi prawo odcinania kuponów, jednak bądź co bądź naraża się tę kaucję na systematyczne obcinanie wskutek nałożonych kar, a wydawca musi zaraz te luki uzupełniać. W ogóle przestudjowawszy dokładnie całą ustawę, spostrzeżemy, jak dalece nie odpowiada ona duchowi czasu, nie wytrzyma porównania z włoskim, francuskim, angielskim i wielu kodexami, bo zamiast aby miała dążyć do wzrostu, nosi na sobie prawie tendencyjne znamię formalnego obostrzenia, oktrojowania i ciągłej kontroli prasy. Jakby nad zarazą i dżumą czuwają nad takiem pisemkiem czujne władze: prokuratorja, starostwo, policja i t. p., a każda z nich gotowa według widzimi się skonfiskować cały nakład, i tym sposobem narazić wydawców na niepowetowane straty, nabawić redaktora niesłychanych na prowincji kłopotów, co wszystko musi bardzo szkodliwie oddziaływać na rozwój prasy małomiejskiej.

Dalszą trudność w tym względzie stanowią drukarnie. Jakkolwiek bowiem nie masz w Galicji większego miasta, gdzieby takowych nie było, to posiadają one tylko ręczne prasy, wytłaczające plakaty, rubrykarze, kalendarze i t. p. mniejsze rzeczy; zwyczajnie sam właściciel drukarni jest zarazem jedynym zecerem, a na praktykujących chłopców nie można w niczem się spuścić. A chcąc wydawać perjodyczne pismo, któreby najregularniej opuszczało druk, potrzeba w każdym razie prasy pospiesznej, kilku zecerów i liczniejszej służby, słowem powiększyć wydatki drukarni i ją należycie zreformować. Ponieważ jednak ubodzy drukarze na prowincji nie są w stanie odpowiednich poczynić zmian, kończy się zwykle na podręcznej prasie i na nieregularnem wydawnictwie, co znowu nader niekorzystnie daje się i redakcji i czytelnikom odczuwać.

Dalej powinna osoba odpowiedzialnego redaktora być niezawisłą od władzy i stronnictw, gdyż za każdy artykuł może do odpowiedzialności być pociągniętą. Gdzież tu znowu znaleść takiego męża wykształconego, którymby obowiązki zawodu porzucił dla celów wydawnictwa, poświęcił piękne widoki dla sławy dziennikarskiej? Ponieważ w zakres takiego pisma wejść muszą różne gałęzie umiejętności, n. p. ekonomia społeczna, prawoznawstwo, literatura, gospodarstwo, administracja i t. p., trudno znowu wynaleść człowieka wszechstronnie wykształconego, któryby tym rozlicznym wymaganiom zadość uczynił. Nadto potrzeba mieć licznych korespondentów i współpracowników w okolicy, a w miejscu choćby kilku stałych reporterów, co wszystko wymaga wielkich kosztów. Naturalnie powiększą się te, skoro administracji pisma do pomocy posłużą kolporterzy, tak niezbędni na prowincji. Każde pismo stołeczne ma na zawołanie dochody z inseratów, na prowincji ma się rzecz przeciwnie, trzeba dopiero zachęcać, kołatać, objaśniać korzyść każdemu przemysłowcowi i kupcowi, aby na drodze ogłoszeń w gazecie uwiadomił świat o swem istnieniu.

Wreszcie dołączmy do powyższego rejestru koszta rozwiniętej korespondencji, opłacanie obszernego lokalu, stępla dzinnikarskiego i portorjum, a będziemy mieli porządną porcję różnych trudności, które szczególnie na prowincji są nader uciążliwemi przeszkodami do rozwoju dziennikarstwa. Mimo to sądzimy, że poznawszy stosunki i wymogi prowincji udało, się nam wykryć niektóre sposoby, jakichby przy zakładaniu takich pism użyć należało, aby pewne przynajmniej trudności usunąć; mniemamy bowiem, że pośrednich środków do utrzymania i rozrostu tyle ważnej prasy prowincjonalnej nie braknie.

(Dok. n.)

---

*

Samobójstwo. *)

Pewien moralista i statystyk niemiecki ubiegłego wieku, autor książki rzadkiej i ciekawej, noszącej tytuł: *„Porządek boski“*, napisał co następuje:

„Opuszczamy to życie, wychodząc przez trzy bramy: jedna niezmierna, wymiarów kolosalnych, przez którą odchodzi tłum coraz to większy — to brama chorób; druga mniej wielka, ścieśniająca się stopniowo — brama starości; trzecia, ciemna i ponura, zbryzgana krwią — to brama śmierci gwałtownych, wypadków, morderstw, pojedynków i *samobójstw.*“

To co pisał szanowny Süssmilch w r. 1740, przybrało w naszych czasach charakter uderzającej prawdy. Śmiertelność z chorób rośnie; śmiertelność ze starości zmniejsza się; śmiertelność z wypadków i samobójstw zwiększa się gwałtownie.

Wzrost samobójstw jest od pół wieku tak wielki, że aż poruszył rządy, z których większa część, przynajmniej w Europie, wyznaczyła nieustające komisje, mające badać ten smutny objaw i wszelkie towarzyszące mu okoliczności. Owoż badania te wyświeciły wielką liczbę faktów dość ścisłych i dość zgodnych, ażeby opierając się na nich można już było dziś napisać to, cobyśmy nazwali: *fizjologją samobójstwa.*

To też znaczna liczba pisarzów (Legoyt francuski, Wagner i Oettinger niemieccy), pożytkując te dane, wyprowadziła z nich, w czasach co prawda nieco odległych, wskazówki ogólne, jakie materjały te zdawały się zawierać.

Po nich, rozporządzając materjałami znaczniejszymi, pan Morselli wydał pracę daleko obszerniejszą. I rzeczywiście, książka jego jest interesującem zestawieniem licznych urzędowych danych. Samo zebranie podobnych dokumentów jest już wielką pracą, którą uznać należy, gdy się weźmie na uwagę trudności, jakie spotyka uczony, zwłaszcza we Francji, chcąc zgromadzić cyfry statystyczne, choćby tylko urzędowe, własnego kraju.

Profesor Morselli podzielił swoją książkę na dwie części; rzeczywiście jednak dzieli się ona na trzy, bardzo nierównej doniosłości.

Pierwsza jest wstępem obszernym, w którym autor usiłuje oznaczyć prawa i obowiązki statystyki moralnej w ogólności, wziętej w zastosowaniu do samobójstwa.

Druga — która stanowi rzeczywiście całą pracę — nosi tytuł: *Analizy.*

Trzecia, traktowana bardzo pobieżnie, poświęconą jest temu, co autor nazywa *Syntezą.*

W pierwszym rozdziale *Analizy* stwierdza autor fakt podwójny: 1. Że samobójstwo wzrasta we wszystkich państwach Europy; 2. że wzrasta daleko szybciej niż ludność.

Sądzimy, że właściwem będzie przytoczyć tu tablicę, przedstawiającą w cyfrach pierwszy z tych faktów.

Tablica ta wykazuje w siedmiu perjodach pięcioletnich średnią roczną liczbę samobójstw w różnych krajach; pierwsze pięciolecie obejmuje lata 1841—1845, ostatnie 1871—1875. *)

	1856—60	1861—5	1866—70	1871—5
Szwecja . . .	211	301	354	347
Norwegja . . .	145	141	133	129
Danja	448	451	472	448
Anglja	1310	1[illegible]43	1459	1544
Hollandja . . .	—	—	94	146
Hanower . . .	246	256	—	286
Prusy	2152	2247	3316	3343
Belgja	213	221	338	362
Francja . . .	4002	4700	4989	5256
Badeńskie . . .	170	189	203	231
Würtemberg . .	144	175	260	294
Saksonja . . .	509	601	725	706
Austrja niemiecka	799	1051	1424	1893
Galicja i Bukowina	203	233	—	579
Włochy . . .	—	718	739	923

Oprócz trzech państw skandynawskich, w których samobójstwo zmniejszyło się w ostatnich perjodach, znajdujemy wszędzie z małem tylko, krótkotrwałem cofaniem się, ogromny wzrost, bardzo charakterystyczny.

W krajach, co do których autor mógł zebrać materjały z lat po r. 1875, wzrost ten jeszcze bardziej olbrzymieje. Szczególniej dotyczy to Anglji, Belgji, Francji, Bawarji, Saksonji, Prus, Austrji, Galicji i Bukowiny, a nareszcie Włoch.

W niektórych krajach ta zwiększająca się liczba samobójstw da się wytłumaczyć ekonomicznem kryzys, jakiemu od r. 1874 uległy okolice przemysłowe; w innych zaś, objaw ten jest rezultatem przyczyn nieustających, wszelkiej natury.

Pierwszą kwestją jaka się nasuwa badając tablice Morsellego jest: czy chcąc oznaczyć skłonność do samobójstwa w różnych krajach, można je z sobą porównywać? Innemi słowy: czy samobójstwa są wszędzie konstatowane z jednakową ścisłością? Nie sądzimy. We wszystkich krajach w których ludność jest skupioną, gdzie głos publiczny wskazuje władzy każdy fakt większej wagi, wiadomości o samobójstwach notowane są z daleko większą ścisłością niż tam, gdzie mieszkańcy są rozproszeni po znacznych przestrzeniach. Z drugiej strony, tam gdzie nietylko śmierć sama jest konstatowaną przez agentów władzy czy gminy, ale i przyczyna śmierci, tam samobóstwo daleko mniej usuwa się z pod kontroli urzędowej, aniżeli np. we Francji (oprócz kilku miast większych), gdzie taka podwójna czynność miejsca nie ma.

Dalej nie ulega wątpliwości, że odróżnienie rodzaju śmierci z przypadku, zbrodni lub samobójstwa, nie wszędzie przeprowadzanem jest z jednakową ścisłością. Oprócz tego, ażeby sądzić o skłonności jakiego narodu do samobójstwa, należałoby wiedzieć nie tylko o tych, którzy potrafili się zabić, lecz i o znacznej liczbie takich nieszczęśliwych, którym zamach na życie się nie udał. Otóż liczba tych jest nieznaną.

Nakoniec, cyfr podanych w tablicy nie można brać zupełnie ściśle. Owszem szybkie zwiększenie się samobójstw, przynajmniej do pewnej epoki, można uważać bardziej jako pozorne niż rzeczywiste, gdyż kontrola wypadków nadzwyczajnych stopniowo się ulepszała i samobójstwa powoli coraz ściślej konstatowano.

W jakim stosunku się one zwiększały, rzeczywiście czy fikcyjnie, u rozmaitych narodów? Odpowiedź na to pytanie byłaby bardzo interesującą, gdyby punkt wyjścia dla różnych krajów był jeden i ten sam. Pomimo to następujące obliczenie, w którem samobójstwo pierwszego pięciolecia oznaczonem jest przez liczbę 100, przedstawia się bardzo zajmująco.

Szwecja. Ze 100 wypadków w perjodzie 1816—1820, samobójstwo dochodzi do 290 (maximum) w perjodzie 1866—70, ażeby zejść do 283 w epoce 1871—75.

Norwegja. 100 w 1826—30; 175 w 1851 do 55; 146 w 1871—75.

Danja 100 w 1836—40; 173 w 1866—70; 164 w 1871—75.

Anglja 100 w 1836—40; 157 w 1871—75.

Hanower 100 w 1836—40; 204 w 1871—75.

Prusy 100 w 1816—20; 422 w 1871—75.

Belgja 100 w 1831—35; 223 w 1871—75.

Francja 100 w 1826—30; 303 w 1871—75.

Badeńskie 100 w 1841—45; 250 w 1871—75.

Bawarja 100 w 1841—45; 178 w 1866—70; 176 w 1871—75.

Saksonja 100 w 1836—40; 274 w 1866—70; 267 w 1871—75.

Austrja niemiecka 100 w 1821—25; 408 w 1871 - 75.

Galicja i Bukowina 100 w 1821—25; 754 w 1871—1875 r.

Ograniczamy się na zrobieniu uwagi, że z wyjątkiem trzech państw skandynawskich i Saksonji, maximum przypada zawsze na lata 1871—1875. (Dok. n.)

*) Studium o statystyce moralnej profesora Morselli. Mediolan 1879.

*) Dla braku miejsca, przytaczamy tylko liczby z czterech ostatnich p i ęcioleci.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

„Pod kolumną Zygmunta.“ Rzecz dramatyczna w 5 aktach, miarowym napisana wierszem przez Aurelego Urbańskiego. Lwów 1880. Nakładem autora str. 100.

Przegląd dzisiejszy rozpoczynam od utworu, który po odczytaniu dziwnie miłe w duszy zostawia wrażenie. Wrażenie to nie prędko zaciera się w pamięci; owszem, trwając, zmusza do powtórnego wzięcia książki w rękę. To uczucie zadowolenia jest najlepszą miarą wartości utworu i wskazuje, że ma on zalety, które go wyróżniają korzystnie z pomiędzy tylu prac bieżącej literatury. „Pod kolumną Zygmunta“ nie jest dziełem scenicznem, w ścisłem znaczeniu tego słowa; a że już sam autor stanowisko jego, jako „rzeczy dramatycznej“, a nie dramatu, z całą samowiedzą określił, przeto nie możemy przyłożyć do niego miary, jakąbyśmy dramat mierzyć chcieli i musieli. Jako dramat, zasłużyłby utwór p. Urbańskiego na zarzut małego ożywienia akcji, z powodu braku dostatecznej treści dramatycznej, któraby 5 aktów wypełnić mogła. Widz byłby znużony słuchaniem djalogów, które wypowiadając wszystko od razu, nie utrzymywałyby jego uwagi w natężeniu. Akta 2gi i 3ci, obracając się koło jednej i tej samej sprawy, niepotrzebnie wstrzymują tok akcji, która w jednym zamknięta by być mogła. W czytaniu te błędy architektoniki dramatycznej nikną; czytający z ciekawością śledzi za biegiem akcji, bo go porywa z sobą szlachetne ciepło serca, wiejące z kartek książki i zapomina, że tu i owdzie rozmowa o jednej rzeczy trwa za długo, że się sceny i mowy powtarzają. Jeżeli utwór omawiany ma duże błędy pod względem układu i przeprowadzenia akcji, ma za to tem wybitniejsze przymioty, które podnieść uważam sobie za obowiązek. Autor przedsięwziął pokazać stosunek żydów warszawskich

do społeczeństwa polskiego w czasie roku 1861, a dalszym jego zamiarem było wskazanie, na jakich podstawach możnaby oprzeć zjednoczenie żydów z Polakami ku wspólnym celom. Zostawiając komu innemu rozbiór, czy zjednoczenie to jest potrzebnem i możliwem, powiem tylko tyle, że po przeczytaniu książki p. Urbańskiego, pragnie się, aby to zjednoczenie już istniało. Postacie żydowskie, przezeń stworzone, nie są typami ludzi istniejących; wie się nawet, że nie istniały nigdy wśród nas; a jednak chce się wierzyć, że istniały, ma się nadzieję, że one istnieć będą. Są to ludzie z krwi i kości, a przecież postacie na wskróś idealne. Charakterystyka większej części osób jest wyborną. Postać starca Natalego jest czemś tak skończenie plastycznem, że staje ogromem przed oczyma czytającego, wywołując w nim podziw. W postać Jaheli umiał autor wlać tyle wdzięku, że od pierwszej do ostatniej sceny zajmuje ona i więzi uwagę. Charakterystyka pułkownika Siergieja, w którym autor starał się pokazać przebudzenie uczuć szlachetnych w sołdacie, jak również charakterystyka „padleca" Rubina, nie pozostawiają nic do życzenia. Za to charaktery Gustawa i hrabiny Aleksji, podstarzałej lafiryndy salonów petersburgskich, są jakieś niestanowcze, nieokreślone, tak że czytający nie umie powiedzieć, jaki temperament w nich dominuje. Wyglądają strasznie problematycznie. Sceny, w których pokazuje się starzec Natali, czy to w rozmowie z Jahelą, czy z Gustawem, czy Rubinem, są najlepszemi ze wszystkich, że tu tylko zaznaczymy sceny końcowe aktu czwartego, zwłaszcza ostatnią scenę tegoż aktu, która każe podziwiać zręczność, z jaką autor stopniował grozę dramatyczną chwili, i zapał prawdziwego artysty, objawiony przedziwnemi słowy szyderstwa i brutalstwa z jednej, powagi, zwątpienia i rozpaczy z drugiej strony. W dziele omawianem nie dużo patryotycznych frazesów, a jeśli są, wynikają z akcji; autor nie goni za poklaskiem — a przecież z całego utworu wieje spokojne, głębokie uczucie miłości dla skajdanionego ludu, które zmusza „inaczej myślących" do skłonienia czoła przed porywami może nieobrachowanymi, może przedwczesnymi, ale świadczącymi w każdym razie o żywotności narodu i poczuciu swych praw. Wobec stygnięcia poczucia narodowego; wobec codziennego plwania pewnego obozu na ruch nasz z roku 1863, ma dzieło p. Urbańskiego tem większe znaczenie i tem większą wartość, że wrażeniem, jakie daje czytającemu, świadczy o miłości naszej do tego, co choć nieudałe, było wielkie i święte. Życzyćby sobie należało, aby „Pod kolumną Zygmunta" rozeszło się w najszersze koła publiczności naszej i by go nie brakło w żadnym domu polskim.

W. J. Wdowiszewski.

Kronika Tygodniowa.

Komitet zajmujący się urządzeniem jubileuszu powstania listopadowego, którego odezwę wstępną umieściliśmy w przeszłym numerze, podzielił się na pięć sekcyj. Jedna z nich, mając zadanie przygotować wydawnictwo pamiątkowe, rozesłała następujące dwie odezwy:

Odezwa do uczestników powstania listopadowego.

W r. b. pięćdziesiąt lat dobiega od wybuchu rewolucji listopadowej. W przededniu tej wiekopomnej w dziejach polskich rocznicy, zawiązał się komitet w naszym mieście, dla uczczenia owych walk nieśmiertelnych i bohaterów z pod Grochowa, Wawru, Dębego i Ostrołęki. Ale zamiarem naszym jest nie tylko oddać hołd należny uczestnikom powstania, lecz zarazem w szeregu publikacyj przypomnieć narodowi wielkość tych wypadków i ich sławę niespożytą.

Najważniejszem z wydawnictw w tym celu zamierzonych będzie ogłoszenie zbioru pamiętników do historji rewolucji, wspomnień o wybitniejszych osobistościach i opowiadań o głównych epizodach z dziejów ówczesnych.

Zbiór taki nader cennem będzie źródłem dla przyszłego historyka i niepoślednią może zawierać naukę dla obecnych i potomnych pokoleń. Wielkie bowiem wypadki i znakomite osobistości mają ten wspólny im przywilej, iż każdy szczegół ich dotyczący ogólne wzbudza zajęcie, a częstokroć nie równie więcej ma znaczenia dla nauki dziejów, niż długie opisy całych epok bezbarwnych i jałowych. Wszystkie więc pozostałe po r. 1831 pamiątki należy zebrać starannie, nie tylko jako drogie naszemu sercu, lecz nadto w wysokim stopniu cenne dla przyszłej umiejętnie skreślonej historji powstania — i dla tego też do Was udajemy się czcigodni mężowie, z prośbą o udzielenie nam Waszych pamiętników, lub przynajmniej opisów zdarzeń ważniejszych.

Wszelkie opowiadania o stosunkach w Królestwie od r. 1815, o wybuchu powstania, o organizacji sił zbrojnych, o wypadkach na całym rozległym teatrze wojny, o wewnętrznych walkach stronnictw, o rokowaniach z Moskwą — wysoką będą miały wartość, chociażby po części były powtórzeniem rzeczy zkąd inąd już znanych, choćby miały tylko formę krótkich, urywkowych, zapisków. Każdy szczegół, każdy rys choćby drobny, ale malujący jakąś osobistość wybitną, chwilową sytuację lub stosunki miejscowe, będzie również nader pożądany. Nawet wszelki materjał historyczno-anegdotyczny, jeżeli tylko trafnie maluje usposobienie ogółu lub osób ważniejszych, podobnież będzie cennym nabytkiem.

Tylko po tak starannem zebraniu wszelkich pamiątek z tej epoki możemy się doczekać umiejętnie skreślonej historji powstania, będącej wiernym i dokładnym obrazem tych wypadków, barwnem i pełnem życia przedstawieniem przewódców ruchu i stosunków ówczesnych, wreszcie prawdziwem a głębokiem źródłem nauki dla przyszłych pokoleń. -- We Lwowie 15. czerwca 1880. W imieniu komitetu:

Alfred Młocki, przewodniczący. *Leszek hr. Dunin Borkowski,* zastępca przewodniczącego. *Tomasz Rayski,* przewodniczący komisji wydawniczej.

Upraszamy o łaskawe nadsyłanie rękopisów pod adresem: Tomasz Rayski, Lwów ulica Hetmańska l. 4.

Druga odezwa została wydaną do zarządców bibljotek publicznych i prywatnych w Polsce i opiewa:

„Dla uczczenia 50-letniej rocznicy powstania listopadowego, zawiązał się komitet w naszem mieście, który zamierza zarazem w szeregu wydawnictw przypomnieć rodakom wielkość tych wypadków.

„Najważniejszą pod tym względem publikacją, będzie ogłoszenie księgi pamiętniczej, zawierającej zbiór materjałów do historji powstania. Pierwszy z jej działów zajmą pamiętniki do dziejów rewolucji i Królestwa od r. 1815; drugi ma zawierać wiadomość o źródłach rękopiśmiennych, dotyczących tej epoki; w trzecim wreszcie będzie bibljografja do historji powstania.

„Oczywiście, że drugi punkt programu tego wydawnictwa tylko w takim wypadku może być wykonany, jeżeli szanowne zarządy bibljotek polskich tak w kraju, jak za granicą, raczą nam nie odmówić swej pomocy.

„Spodziewając się takiego poparcia ze względu, że zamierzone wydawnictwo ma cechę naukową i patrjotyczną, udajemy się do WPana z prośbą o informacje, czy w bibljotece, zostającej pod pańskim zarządem, znajdują się rękopisy, odnoszące się do dziejów Królestwa od r. 1815—31, a jeżeli są, których dotyczą wypadków, jakiego rodzaju są te materjały (pamiętniki, opisy poszczególnych epizodów z dziejów ówczesnych, zbiory aktów publicznych itd.) i jakiej objętości. We Lwowie 15. czerwca 1880. W imieniu komitetu: *Alfred Młocki,* przewodniczący; *Leszek hr. Dunin Borkowski,* zastępca przewodniczącego; *Tomasz Rayski,* przewodniczący komisji wydawniczej. Adres: *Tomasz Rayski.* Lwów, ulica Hetmańska l. 4.

* * *

Upały letnie rozpędziły przynajmniej czwartą część Lwowa; nie wytrzymał nawet dramat, nie wytrzymała opera, pozostała tylko operetka i Sejm krajowy, dający bardzo zabawne przedstawienia w gmachu Skarbkowskim. Gdyby nie ten Sejm, przyszłoby dostać splenu i rzucić się z kopca Unii wprost na Kisielkę, takie nudy opanowały gród nadpełtwiański. Nawet p. Jägerman w Radzie miejskiej nie zajmuje, opozycja jego przestała irytować dziennikarstwo. Ale za to w Sejmie mamy wielce budujące rozprawy: Ot w ubiegłym tygodniu zachciało nam się wywołać kryzys ministerjalną w łonie Wydziału krajowego, i zapisaliśmy się do opozycji. Pierwsze strzały padły przy umeblowaniu przyszłej sali sejmowej, drugie przy budżecie, następnie zaczepiliśmy, ale to już po naszemu, (po galicyjsku), referenta szpitali krajowych... Hajże tedy na Soplicę! Dlaczego on tyle pieniędzy wydaje na chorych, dlaczego każe leczyć ich bezpłatnie, dlaczego przyjmuje do szpitali, dlaczego zatrzymuje, słowem dlaczego wydaje więcej niż kraj ze szczodrobliwości swojej za owe 34 centy dodatków do podatków przeznaczył... Ludzie kompetentni dotykający bliżej tych spraw zapewniają, że nigdy od czasu istnienia rządów autonomicznych, szpitale nie były tak porządnie i oszczędnie prowadzone jak teraz, pomimo tego, gdy opozycji trzeba było kozła ofiarnego (a jak mówią paru krzeseł do dyspozycji w pałacu przy Kopernika ulicy) więc dalejże na niego. Przyszła sprawa deficytów, nowy atak na Wydział krajowy i na ten nieszczęśliwy gmach sejmowy, bez względu, że ten gmach jeszcze nie skończony, i że na odgłos sporów rozlegających się z galicyjskiego parlamentu, gotów ze strachu sam pogrzebać się w swoich gruzach. Zbierała się tedy burza, błyskawice krzyżowały w różne strony, odzywał się już i grzmot daleki, gdy wystąpił marszałek krajowy i odsłoniwszy nagą pierś swoją, powiada: „strzelajcie kto ma ochotę".

I dziwna rzecz, na takie *dictum acerbum,* palce zawisły na kurkach rewolwerowych, opozycja otworzyła usta ze zdumieniem. „Ścielę się do stóp asańśtwa dobrodziejstwa“, przemówiła większość schyliwszy głowę w pokorze, wotum zaufania znaczną większością uchwalono. Śmiały krok marszałka ocalił Wydział krajowy i ustawa finansowa na rok 1880 przeszła jakby po maśle, *en bloc,* bez rozprawy...

Zdawało się tedy, że święty spokój zapanuje między sejmem i Wydziałem, lecz było to chwilowe tylko zawieszenie broni; kto z petycjonujących trafił wówczas na porządek dzienny, otrzymał zadośćuczynienie swej prośbie, była to chwila taka, że gdyby Rada szkolna zażądała stotysięcy na bibljoteki ludowe, danoby dwakroć; jaka to szkoda, że nie umiano korzystać z tej pozycji?

Za to we środę rozpoczął się nowy atak z powodu petycji mieszkańców gminy Czarnego Dunajca, którą uwzględniając komisja petycyjna, radziła aby kraj kilka tysięcy kosztów komisji, nałożonych na kilku byłych administratorów lasami tych gmin — za nich zapłacił, i zaprowadzoną przez Wydział krajowy administrację usunął.

Naturalnie, że podług wniosków komisji Wydział krajowy popełnił tu co najmniej zbrodnię naruszenia cudzej własności, poważywszy się zajrzeć do gospodarstwa lasowego gmin Czarnego Dunajca, a jak to da się czytać między wierszami, że robił to z zamiarem dania zarobku tysiąca i coś reńskich urzędnikowi swemu niejakiemu panu Wiktorowi. Otoż ten pan Wiktor naraz zrobił się sławnym; nazwisko jego powtarza dziś nie tylko Lwów, ale kraj cały, dzienniki wiedeńskie, a jak się zdaje i cała Europa... Kto miał przykrość z tego powodu to miał, ale pan Wiktor przejdzie do historji. Jesteśmy przekonani, że ksiądz Kalinka, już go sobie zapisał do swoich notatek historycznych. Szczęściem Izba nie umiała się poznać na tak znakomitych wywodach komisji, i przeszła nad wnioskiem do porządku dziennego.

Teraz powiem czytelnikom co o tem mówią po mieście.

Żżymają ramionami i śmieją się. Dalibóg tak jest. Ci wszyscy, którzy jeszcze mają przed sobą dzieło księdza Kalinki o Sejmie czteroletnim, powiadają: że szlachta polska niczego się od lat stu nie nauczyła i niczego nie zapomniała, bo tak samo, jak dawniej pasjami lubi wyszukiwać źdźbła w oku brata i zohydzać wszystko, czego sama nie zrobiła. Obcym wiele się przebacza, swoich sądzi się najsurowiej. Jeżeli nasze władze autonomiczne są lekceważone w kraju, jeżeli mówiąc o ich działalności, macha się ręką, to pierwsza wina spada za to na nas samych trzymających wciąż gotowy kamień w ręku. Bo czemże jest ten Wydział krajowy jak nie kością z kości naszej, ekstraktem najprzedniejszym sejmu, a przez niego i całego kraju! Jeżeli przeto w ten sposób traktuje się tę naszą esencję jak to opozycyjni posłowie a po części i „Czas“ krakowski robią, to któż obcy może mieć jakie bądź dlań poszanowanie? Sejm zatwierdza budżety, sejm wybiera komisje, komisje te mają prawo i możność wiedzenia o tem wszystkiem o czem wie i Wydział krajowy, albowiem całe bióro i księgi rachunkowe są dla niej zawsze otwarte, jeżeli więc zrobiono błąd, to zrobił go tak samo sejm, tak samo komisje i tak samo Wydział. Od nikogo nie można żądać większego rozumu, niż się go ma. Rzecz inna, gdyby przekroczono instrukcje! Tu gdy tego nie było — wina jest wspólną, trzeba się uderzyć w piersi i przed krajem przycupnąć. Zarzut, któryśmy w Sejmie słyszeli: „dlaczego nas nie objaśniono, a dlaczego nas nie uprzedzono, że źle będzie“, przypomina opinię pewnego naczelnika wojennego w królestwie, który kazawszy gminie wybrać wójta, nieumiejącego pisać ani czytać, tak się odezwał do niego: „Słyszysz, ty jesteś wójt, ty jesteś władza, i od ciebie wszystko zależy... pisarz gminny ten oto, jest twój sługa, i powinien robić co ty każesz... Ty pisarzu jesteś niczem.“

Więc jak było dobrze w gminie, wójt dostawał pochwały, ale niechno zrobiło się jakie nadużycie, naczelnik wpadał jak piorun na pisarza... Czy ty nie wiesz, że wójt jest prosty chłop i nic nie rozumie! obowiązkiem twoim było nauczyć go, objaśnić i nie pozwolić, aby głupstwa robił...

Jeżeli więc chcemy, żeby władze nasze miały szacunek powszechny i w kraju powagę, szanujmy je naprzód sami i nie pozwalajmy, aby stawały się publiczną serwetą, którąby każdy mógł usta wycierać do woli...

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

za miesiąc lipiec.

— *Alcestys.* Dramat przedstawiony w r. 438 przed Chrystusem. Przekład Z. Węclewskiego. 8ka str. 60. Poznań 1880. 60 ct.

— *Dr. Antoni J.* Zameczki podolskie na kresach multańskich. Wydanie drugie przerobione i powiększone przez autora. 3 tomy 8ka str. 308, 304, 290. Tom I. i II. zawiera: Kamieniec nad Smotryczem, t. III. Zwaniec, Paniowce, Czarnokońce, Bar, Mohylew, Szarogrod. Kraków 1880. 7 złr. 50 ct.

— *Arja.* Dowcipny pomysł. Zdarzenie prawdziwe. 8ka str. 98. Lwów 1880. 80 ct.

— *Czarnowski Aleks.* Studjum o żydach. 8ka str. 77. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Dunikowski dr. Emil L.* Rzut oka na stosunki geologiczne Galicji wschodniej. 8ka str. 96. Lwów 1880. 75 ct.

— *Hoffmann Fr.* Srebrnik. Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół. Przełożył Robert Riszka. 8ka str. 127. Brody 1880. 50 ct.

— *Kantecki Klemens.* Franciszek Maksymilian Ossoliński, podskarbi w. koronny. 8ka str. 38. Warszawa 1880. 60 ct.

— *Kasparek dr. Fr.* Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacji gminnej i wnioski reformy. 8ka str. 136. Kraków 1880. 1 złr. 20 ct.

— *Kirkor A. H.* Przewodnik historyczny po Wilnie i jego okolicach. Wyd. drugie. 8ka str. 300. Wilno 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Krafft dr. Guido.* Nauka organizacji gospodarstwa. Z siódmego niem. wyd. przełożyli studenci instytutu gosp. wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandrji. Tom I. 8ka str. 180. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct

— *Kraszewski J. I.* Waligóra. Powieść historyczna z czasów Leszka Białego. 3 tomy. 8ka str. 212, 209, 213. Warszawa 1880. 4 złr. 50 ct.

— *Kraszewski J. I.* Syn Jazdona. Powieść historyczna z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego. 3 tomy. 8ka str. 243, 218, 193. Warszawa 1880. 4 złr. 50 ct.

— *Kraszewski J. I.* Pogrobek. Powieść historyczna z czasów Przemysławowskich. 2 tomy 8ka str. 205, 209. Warszawa 1880. 3 złr.

— *Kraszewski J. I.* Zadora. Powieść 8ka str. 180. Lwów 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Kraushar Aleks.* Odwieczny spór między dobrami Bolesław a miastem Olkuszem, rozstrzygnięty wyrokiem Izby sądowej warszawskiej. 8ka str. 142. Warszawa 1880. 60 ct.

— *Kremera Józefa* Dzieła tom X. Warszawa 1880.

— *Mostenhauser Karol.* Sto figur mazurowych oraz ogólne i szczególne zasady mazura z dodaniem oberka. Wyd drugie poprawione i znacznie powiększone. 8ka str. 173. Warszawa 1880. 1 złr. 25 ct.

— *Niewiadomski Wincenty.* Obrazy z życia flory, opracowane według najnowszych źródeł. 8ka str. 300 z licznemi drzeworytami. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Nusbaum Hilary.* Z teki weterana warszawskiej gminy starozakonnych. 8ka str. 97. Warszawa 1880. 1 złr. 60 ct.

— *Powszechna księga* ustaw karnych (kodeks karny) z dnia 27. Maja 1852. Część II. O występkach i przekroczeniach. §§ 233—533. 8ka str. 254. Kraków 1880. 2 złr.

— *Psałterz Puławski.* Z kodeksu pergaminowego księcia Władysława Czartoryskiego. Przedruk homograficzny wykonali Adam i Stanisław Piliński. 8ka. Poznań 1880. 15 złr.

— *Rowieński Stanisław.* Listy o jeździe konnej. 8ka str. 120. Warszawa 1880. 90 ct.

— *Rocznik zbiorowy* prac naukowych na rok 1879. 8ka str. 252. Warszawa 1879. 2 złr.

— *Skórczewski Bolesław dr.* Dyjetetyka kąpielowa czyli nauka jak zachować się należy podczas leczenia się w zdrojowiskach. 8ka str. 348 i XX. Warszawa 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Smoleński ks. Jul.* Dwadzieścia listów o wytrwałości komunii świętej. z V. wyd. francuskiego. 8ka str. 283. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Spencer Herbert.* O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznem. Przełożył Michał Siemiradzki. 8ka str. 303. Warszawa 1880. 2 złr.

— *Sulisław.* Po kweście, fraszka w jednym akcie oryginalnie napisana. 8ka str. 16. Lwów 1880. 40 ct.

— *Synoradzki Michał Halina.* Hanka Czarownica. Powieść. 8ka str. 293. Warszawa 1880. 1 złr. 50 ct,

— *Szwajkart Stanisław.* Krótki rys matematyki na podstawie nauki o ilościach przestrzennych i o układzie liczb. Zeszyt I. O układach liczb i działaniach takowych. 8ka str. 87. Lwów 1880. 55 ct.

— *Wdowiszewski J. W.* Takich więcej. Komedja w dwóch aktach. 8ka str. 27. Lwów 1880. 60 ct.

— *Żywoty świętych* Pańskich starego i nowego testamentu. z dzieła księdza Piotra Skargi skrócone i zastósowane do użytku osób wszelkiego stanu i wieku, przez Ap. D. tom IV. 8ka str. 485. Warszawa 1880.

— *Żywot Pana* i Boga naszego Jezusa Chrystusa, t. j. droga zbawienia. 4to str. 288. Wilno 1880. 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** W dalszym ciągu wydawnictwa „Bibljoteki Mrówki“, ukazały się tomiki 87. 88 i 89. Pierwsze dwa zawierają *Sielanki J. B. Zimorowicza* ostatni zaś *Roksolanki Szymona Zimorowicza.* Są to, jak wiadomo, obrazki zdarzeń i obyczajów z pierwszych lat XVII wieku, pełne poezji i wdzięku. Utwory te dwóch najznakomitszych po Kochanowskim poetów owej epoki, nie wątpimy że sympatycznie będą przyjęte przez ogół w tak tanim wydawnictwie, jakiem się odznacza „Bibljoteka Mrówki.“

*** Broszura p. t. „Myśli o najbliższej przyszłości Europy i Polski“ przez autora broszury „Ratujmy się póki czas“ jest sprzedawaną po cenie 12 centów na rzecz dalszej budowy kopca Unji lubelskiej. Zachęcać do kupna zdaje się byłoby zbytecznem.

*** W jednym z ostatnich numerów „Narodnych listów“ praskich mieści się ocena naszego „Ziarna.“

Autor obszernego feljetonu rozwodzi się nad pojedyńczemi artykułami, podnosi wartość rzeczy poetyckich, niektóre aforyzmy tłumaczy i chwali część artystyczną.

Słowem, zadowolony jest najzupełniej i jedną, jedną tylko ma pretensję do komitetu redakcyjnego, na którą jednak komitet „Ziarna“ rady nie znajdzie. Oto dziwi się dla czego nie zaproszono do współudziału... Syrokomli..

*** Wyszedł z druku pierwszy tom „Prac dramatycznych“ Zygmunta Sarneckiego, autora zaszczytnie już znanego na tem polu.

Tom ten zawiera komedje: „Zemsta pani hrabiny“ „Febris aurea“ i „Nad ranem“.

*** Wkrótce wyjdzie z pod prasy rzecz dra Ol Rundo p. t. „Zasady balneologji podług dzieł doktorów Brauna i Lehmanna“.

*** Redakcja „Bibljoteki Warszawskiej“ przypomina uczonym polskim, iż zbliżają się terminy dla obu w r. z ogłoszonych przez nią konkursów.

Konkurs na temat: „Przedstawienie obrazu obywatela wieku współczesnego“ upływa z dniem 30. grudnia 1880, zaś konkurs na dzieło: „Historja języka polskiego“, z d. 30 czerwca 1881.

Nareszcie zapowiada redakcja rychłe ogłoszenie trzeciego konkursu z dziedziny oświaty ludowej.

*** P. Celestyn Fricz literat czeski, przetłomaczył drukowaną w „Tygodniu“ powieść J. I. Kraszewskiego pt. „Zadora“, oraz tłumaczy „Szambelanów“ komedję W. J. Wdowiszewskiego. Obok tego p. Fricz przekłada na język czeski najcelniejsze aforyzmy i artykuły z naszego „Ziarna“ i umieszcza je w pragskiem czasopiśmie Swetozorze.

*** Najnowszą komedję Michała Bałuckiego p. t. *Sąsiedzi,* tłómaczy na język czeski znany literat p. Arnost Schw. Polabsky.

*** „Komeńsky“, dziennik pedagogiczny wychodzący w Pradze, pomieszcza obrazki z podróży po Tatrach.

Również w tym przedmiocie pisze studja Rudolf Pokorny, które drukują się w ilustracji „Svetozor.“

*** Ateneum w zeszycie za m. lipiec r. b. zawiera: 1. Sylwek Cmentarnik. p. E. Orzeszkową. 2. Walka z centralizmem w Galicji. p. Ignota. 3 Herbert Spencer. Psychologja, przez Wład. Kozłowskiego. 5. Podole u schyłku wieku XV. A. Jabłonowskiego 6. Karolina Swetla. Br. Grabowskiego. 7. Trzy rozdziały ze spółczesnego życia Norwegji. Jana Finkelhausa. 8 Jan hr. Działyński. M. A. Baranieckiego. 9. Opieka nad opuszczonemi niemowlętami. St. Markiewicza. 10. Rozbiory i Sprawozdania. 11. Kronika miesięczna.

*** „Biblioteka Warszawska“ w zeszycie VII na m. lipiec r. b. zawiera: 1. O honorze średniowiecznym, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. 2. Od szkolnej ławy, opowiadanie z lat 1788—1813, przez Kajetana Kraszewskiego (dokończenie.) 3. Pieśni Bulgarów macedońskich w Rodopie, zebrane przez Stefana Werkowicza (zarys kwestji ich autentyczności), przez Bronisława Grabowskiego. 4. Kronika Poznańska. 5. Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego. 6. Kronika paryska, literacka, naukowa i artystyczna (dokończenie). 7. Korespondencja do Redakcji Bibjoteki warszawskiej, przez Kazimierza Stadnickiego. 8. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. Psałterz Puławski, z kodeksu pergaminowego księcia Władysława Czartoryskiego, przedruk homograficzny, wykonali Adam i Stanisław Pilińscy, nakładem bibljoteki kórnickiej, 1880, przez Józefa Przyborowskiego. Złota księga szlachty polskiej, przez Teodora Żychlińskiego, rocznik drugi, Poznań 1880 r. przez A. Bonieckiego. 9. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. Od Redakcji.

*** Kosmos czasopismo polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika w zeszycie VI z rb zawiera: 1. Wyciąg z protokółów posiedzeń polskiego towarzystwa przyrodników im. Kopernika. 2. Kilka uwag o zbiorniku kurczliwym wirczyka. Podał J. Limbach. 3. Roślinność letnia i jesienna okolic Bilcza i Cygan podał B. Błocki. 4. Krótkie sprawozdanie o uskutecznionych we Lwowie chemicznych rozbiorach towarów, napoi, używek itp. ciał, przez Dr. M. D. Wąsowicza. 5. Notatki naukowe przez J. Niedźwiedzkiego i L. Hodolego. 6. Kronika naukowa przez H. Wielowiejskiego, L. Hodolego, B. Zukera i M. D. Wąsowicza. 7. Wiadomości bieżące.

Nauka.

*** W Wrocławiu otrzymał stopień doktora filozofji p. Maksymiljan Kantecki z Poznania.

*** Belgijski minister oświaty nosi się z projektem zaprowadzenia w Belgji przymusu szkolnego, istniejącego w Niemczech, Szwajcarji i innych krajach skandynawskich, a mającego się wprowadzić we Francji i Anglji.

*** *Nauka rolnictwa w szkołach elementarnych.* Rząd francuski ważny w tych chasach krok uczynił pod względem oświaty ludowej, wprowadzając obowiązkowy wykład rolnictwa w każdej elementarnej szkole całego kraju.

*** *Wybór.* Akademja nauk paryska na miejsce swego członka korespondenta, opróżnione przez zgon p. Zinina z Petersburga, obrała 40 głosami na 45 głosujących p. Stassa z Brukselli. Innymi kandydatami byli pp. Melsens, Kekulé, Cannizara i Bayer.

*** *P. Coggia,* astronom marsylskiego obserwatorjum, zostaje dyrektorem obserwatorjum w Algierze, gdzie żadnych wcale nie robiono obserwacji od czasu założenia tegoż obserwatorjum w 1864 r. przez marszała Pelissier.

*** *Profesor sędziwy.* Wartem jest zaznaczenia, że pan Cherzeul, który niedawno zaczął rok dziewięćdziesiąty piąty, otworzył kurs swój chemji w muzeum historji naturalnej w Paryżu, z większą energją rzec można i zapałem, niż przed laty pięćdziesięciu, kiedy pierwszy raz wstępował na tę katedrę. Programat wykładów jego, według dziennika *les Mondes* jest doskonały i silną napisany ręką. Sędziwy profesor wiekowy nieledwie, wciąż wygląda młodo i świeżo.

Sztuki Piękne.

*** P. Juljan Zakrzewski sympatyczny tenor opery lwowskiej, bawi obecnie w Warszawie, gdzie rozpoczął gościnne występy w Trubadurze z wielkiem powodzeniem.

*** Dzienniki angielskie wyrażają się z wielkiemi pochwałami o naszym skrzypku Niedzielskim, który w zeszłym tygodniu dawał koncert w Londynie w Steinway Hall.

*** Kochańska nie przestaje czarować Anglików swoim śpiewem.

Ostatnio występowała na koncercie w James Hall i arją z „Fletu zaczarowanego“ pobudziła słuchaczy do zapału którego niecierpliwe audytorjum nie mogło pohamować przed ukończeniem śpiewu.

Nadto pani Kochańska wykonała z wielkiem powodzeniem trzy drobne utwory niemieckich mistrzów, które na żądanie musiała po dwa razy powtarzać.

„The illustrated London News“, z których wiadomości pomienione czerpiemy, stwierdza świetny rezultat, osiągnięty przez naszą rodaczkę w „Lunatyczce“.

*** W wychodzącem w Paryżu „L'année artistique“ znajduje się artykuł o sztuce polskiej w ubiegłym roku pióra p. Gorgolewskiego artysty rzeźbiarza we Lwowie.

*** Na krakowską wystawę sztuk pięknych przybyły Brochockiego „Krajobraz“, Bieszczada „Jankel“, Konopackiego „Powrót żniwiarzy“ Lipińskiego Hipolita „Szmigus“ Papiezkiego „Portret mężczyzny“ i „Głowa staruszki“, Pociechy dwa rysunki kredką.

*** *Wystawa sztuk pięknych.* Na 31. lipca zapowiedzianem jest otwarcie w pałacu przemysłowym w Paryżu 6tej wystawy centralnego stowarzyszenia sztuk pięknych. Wystawa ta całkowicie różnić się będzie tem od poprzedzających, że obejmie jedynie tylko wyroby artystyczne z metali, począwszy od monomentalnych ozdób bronzowych i wykwintnej ślusarszczyzny, aż do najdelikatniejszych wyrobów złotniczych i jubilerskich.

*** W końcu b. m. wprowadzone zostanie we wszystkich rosyjskich teatrach oświetlenie elektryczne Jabłoczkowa.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Charlottenburgu spaliła się willa profesora Mommsena, który poniósł też obrażenia na twarzy i rękach; wielka część jego bibljoteki i manuskryptów stała się pastwą płomieni.

*** W tych dniach otwarto znajdujący się w Królewcu w katedrze grób Emanuela Kanta, zmarłego w roku 1804. Trumna drewniana rozsypała się. Zastąpiona ona zostanie ołowianą. Również i głowa sławnego filozofa, z której zamierzano zrobić odlew, prawie zupełnie obróciła się w proch.

*** Sekcja towarzystwa lekarzy galicyjskich wybrała komisję, mającą się zająć wyszukaniem miejscowości, któreby w Galicji kwalifikowały się na zdrojowiska kąpielowe i klimatyczne. Komisja zwróciła się przedewszystkiem do lekarzy powiatowych w okolicach górskich i podgórskich o wskazanie odpowiednich miejscowości. Po otrzymaniu spisu takowych, komisja uda się do właścicieli tych miejscowości z zapytaniem, ile gości mogłoby znaleźć tam pomieszczenie.

*** W Monachjum pod przewodnictwem dra Vogla zawiązał się komitet, mający na celu wznoszenie na świeżem górskiem powietrzu zakładów, w którychby chorowite i wątłe dzieci szkolne przepędzać mogły wakacje.

*** Stowarzyszenie słuchaczów słowiańskiej narodowości na uniwersytecie wiedeńskim obchodziło 1000-letnią rocznicę (27. czerwca) zaprowadzenia słowiańskiego języka w liturgii kościelnej, przyczem polskie stowarzyszenie Ognisko wzięło udział, a jego członkowie doznali bardzo sympatycznego przyjęcia.

*** Towarzystwo bratniej pomocy studentów akademików w Pruszkowie, liczące w półroczu 1880 roku 117 zamiejscowych, 57 honorowych i 6 miejscowych członków, rozwiązało się z powodu zwinięcia akademji i przesłało kapitał swój do Dublan, gdzie się utworzy stypendjum towarzystwa; kapitał ten wynosi 5300 marek.

*** W Przeworsku i Starejwsi koło Brzozowa zamierzają osiedlić się jezuici francuscy. Istniejący w Starejwsi lazaryści czynią już przygotowania do ich przyjęcia. Do Tarnowa przybyło ośmiu jezuitów.

*** Dzienniki donoszą, iż rząd hiszpański dozwolił wydalonym z Pegann we Francji jezuitom osiedlić się w Loyola, w miejscu urodzin Ignacego Loyoli, gdzie obecnie znajduje się wielki klasztor tego zakonu. Loyola jest wsią w prowincji biskajskiej i leży w pobliżu miasta Tuluzy. W sąsiedztwie tej wsi leży mały ale bardzo stary zamek, w którym w roku 1491 założyciel wspomnianego zakonu ujrzał światło. Zamek i należące doń grunta, wskutek ślubów uczynionych, podarował Ignacy Loyola biednym. Obok tego książę Pastrana darował jezuitom zamek Chammartin, w pobliżu Madrytu: jezuici założą w nim kolegium na 80 pensjonarzy.

*** Rząd holenderski przedstawił stanom projekt ustawy zwalczania opilstwa. Ogranicza on liczbę szynków podług ilości mieszkańców i rozmiaru miejscowości. W małych wsiach dozwolony będzie na każde 250 mieszkańców jeden szynk, w miastach od 10 do 20.000 mieszkańców jeden na 300, w niektórych od 20 do 50.000 mieszkańców

na każde 400, a jeszcze w większych miastach na każde 500 mieszkańców. Również wzbronioną będzie sprzedaż trunków dla osób niżej 16 lat. Ktokolwiek dostrzeżony zostanie w stanie pijanym na ulicy, ulegnie karze aresztu.

*** Ciałopalenie zdaje się robić postępy we Włoszech. W ciągu jednego tygodnia ubiegłego miesiąca marca spalono na cmentarzu medjolańskim czterech nieboszczyków według dwóch różnych metod: Goriniego i Veniniego. Spalenie obiema metodami udało się należycie.

*** Z Ameryki donoszą, iż w dniu 4. lipca podczas obchodu rocznicy ogłoszenia niepodległości, wydarzyło się wiele nieszczęśliwych wypadków; trzydziestu ludzi utraciło życie, a mnóstwo innych od ogni sztucznych, strzałów pistoletowych i tym podobnych objawów radości, poniosło ciężkie uszkodzenia.

*** „Times“ donosi, iż rząd Nicaraguy udzielił rywalowi Lessepsa, mianowicie towarzystwu amerykańskiemu, wyłączną koncesję na kanał Panamy na 99 lat. Nicaragua uznała kanał i jego zatoki końcowe za neutralne. Kanał będzie wolnym dla okrętów wszelkiej narodowości.

Odkrycia i wynalazki.

*** *Nowa rasa murzyńska.* W ciągu niedawnej swojej wyprawy przez kontynent australski z Perth do portu Darwina bracia Forest napotkali rasę murzyńską, o której dotąd nie słyszano, bo nikt jeszcze z białych jej nie widział. Ma to być piękne, okazałe i dobrze zbudowane plemię, jakkolwiek ludożercze. Podróżnicy kobiet nigdzie nie widzieli wśród niego, chociaż w ciągu swej podróży spotkali się z rozmaitemi, drobniejszemi jego gromadkami. Mężczyźni mają bardzo praktyczny sposób łowienia ryb w rzekach, przepełnionych rybami. Wnoszą oni tamy przez rzekę z pozostawieniem otworu, u którego zasadza się krajowiec z siecią splecioną z trawy, w którą chwyta ryby spłoszone przez rzucanie kamieni i usiłujące przemknąć się tym otworem. Murzyni ci bynajmniej nie zaczepiali podróżników.

Święto rzeczypospolitej w Paryżu.

Dzienniki zagraniczne przepełnione są depeszami świetnych uroczystości, których widownią był Paryż w dniu 14 lipca.

Święto rozpoczęło się właściwie już we wtorek dnia 13.

Początek jego obwieściło o godzinie 8 wieczorem z domu inwalidów 21 strzałów działowych.

Natychmiast przepełniły się bulwary falami głów ludzkich; powozy i omnibusy zaledwie krok za krokiem mogły podążać.

Wszystkie domy ubrane już były flagami; flagi te spływały częstokroć od szczytu domów aż do parteru.

Zabłysły mirjady świateł w oknach i olbrzymich świecznikach, wzniesionych na ulicach wśród pozłacanych masztów, na których wiały się flagi.

O godzinie 9 wielki capstrzyk z pochodniami w całym Paryżu; setki kolumn ruszyło jednocześnie w rozmaitych dzielnicach miasta w pochód, niosąc jarzące pochodnie, i z nieopisanym zapałem śpiewając Marsyljankę i *Chant de départ.*

Ulice, przez które pochody zdążały, oświecano bengalskiemi ogniami i elektrycznem światłem

Zdawało się na ową chwilę, że cały Paryż stał się jednem wielkiem źródłowiskiem światła — fale jego buchały dokoła, jak z czeluści piekła, czasem podobne do tęczowych brylantów wody osrebrzonej jasnym promieniem księżyca.

Na placu Bastylji panował szczególny zapał— śpiewom nie było końca, żołnierze szli z ludem pod ramię.

Około godziny 10 robotnicy przedmieść nadciągnęli do miast, powiązani w grupy oświetlone latarniami.

Śpiewali Marsyljankę, ale zachowywali się zresztą spokojnie i poważnie.

W pałacu sądu handlowego odbył się bankiet dla 2500 delegatów rad municypalnych z prowincji.

Między innymi mówił Wiktor Hugo na cześć Paryża, który umiał być zawsze wielkiem miastem.

Poczem nastąpił koncert.

Melchisedek z Wielkiej Opery ujął sztandar w rękę i zaintonował Marsyljankę; całe zgromadzenie z uniesieniem wtórowało śpiewakowi.

W pałacu Elizejskim równocześnie dawano ucztę na cześć jenerałów; tu przybył prezydent Grévy, wszyscy ministrowie, prezydenci izb, ciało dyplomatyczne...

Pałac i ogród, przepysznie iluminowane, czarodziejskie dawały widzenie.

Około godziny 2-ej nad ranem nadciągnęły tłumy przekupniów z hall przedmiejskich, na ustach niosąc pieśń sarkastyczną o wypędzeniu jezuitów.

We środę już, około godziny $7^{1}/_{2}$ zrana, ciągnęły zewsząd kolumny wojska do lasku bulońskiego, na wielki przegląd; rozłożone tutaj obozem poczęły gotować sobie kawę.

Wesołe, pogodne niebo zabłysło nad tym „dniem szczęścia“ dla Francji; od godziny 9 zrana buloński lasek przedstawiał cudownie malowniczy widok: dokoła obozują żołnierze.

Trybuny, pawilon prezydenta i obie estrady po jego bokach wspaniale przystrojone.

O godzinie $11^{1}/_{2}$ wszystko w porządku.

Trybuny i estrady przepełniają się.

Pani Grévy w czarnej, córka w białej sukni; zjeżdżają się ministrowie, senat, deputowani, dygnitarze, ambasadorowie: turecki, chiński i japoński noszą fantastyczne kostjumy narodowe.

Z prawicy izb mało znalazło się przedstawicieli.

Bębny grzmią i muzyka się odzywa.

Gambetta z biurem izby nadjeżdża w siedmiu karetach, pod konwojem trzech szwadronów kirasjerów.

Nowe okrzyki, nowy grzmot bębnów i fanfara muzyk...

Nadjeżdża prezydent senatu w takiż sam sposób, jak przed chwilą Gambetta.

O godzinie 12 i pół wywieszają flagę na pawilonie prezydenta; z Mont-Valerien grzmią działa — muzyka gra Marsyliankę — Grévy nadjeżdża...

Przy wjeździe do Longchamps przyjmuje go minister wojny z całą okazałą świtą i odprowadza aż do trybuny.

Wszyscy ministrowie otaczają naczelnika rządu.

O godzinie $12^{3}/_{4}$ staje Grévy na trybunie; po jego prawicy prezydent senatu Leon Say, po lewicy Gambetta ministrowie za nim.

Wznoszą się entuzjastyczne okrzyki na cześć rzeczypospolitej i jej prezydenta.

Minister wojny ze świtą i komendanci korpusów stają na czele swych oddziałów.

Całością kieruje komendant Paryża, jen. Clinchant.

Zaczyna się ceremonja rozdziału sztandarów; Grévy odzywa się do „oficerów, podoficerów i żołnierzy francuskich.“

„Rząd rzeczypospolitej — mówi on — szczęśliwym się czuje w obliczu tej prawdziwie narodowej armji, którą Francja z najlepszych cząstek swego ciała wydaje, poświęcając jej całą swoją młodzież, to znaczy wszystko to, co posiada drogiego, wielkodusznego i dzielnego... Jeżeli kraj nie szczędził żadnych kosztów na armię, to nawzajem armja nie szczędziła żadnych trudów, aby pilnością w pracy, nauką i karnością stać się dla Francji rękojmią pokoju, którego strzedz ma. W tej myśli rząd rzeczy- pospolitej wręcza wam te sztandary. Przyjmijcie je, jako dowód najgłębszej sympatji dla armji. Przyjmijcie je jako świadectwo waszej waleczności, waszej wierności obowiązkom, waszego poświęcenia dla Francji, która z temi szlachetnemi godłami polowemi powierza wam obronę czci swojej, swego obszaru i swoich praw!

Słowom tym towarzyszyły przeciągłe okrzyki, jenerałowie, wojsko, publiczność na trybunach i cały lud — wszystko wołało w niebogłosy: „Niech żyje Grevy!“

Z każdego oddziału występują pułkownicy i chorążowie przed Grévy'ego; oddebrawszy sztandar z rąk prezydenta, słaniają go ku ziemi ze czcią dla zwierzchnika kraju, który skinieniem głowy odpowiada.

Ceremonja trwała prawie godzinę.

Rozdano 436 sztandarów.

Teraz wszyscy trzej wzmiankowani prezydenci usuwają się, a minister wojny ze swoim sztabem odbywa przegląd deputacyj i wojsk.

Cały Paryż dnia tego pochłonięty był widowiskami.

Każda dzielnica miała swój osobny program widowisk, koncertów, pochodów, illuminacyj, średniowiecznych targów, regat, wyścigów, ogni sztucznych, balów...

Samych balów prywatnych zapowiedziano na ten dzień 1800, a urzędowych 112.

W licznych dzielnicach odsłonięto posągi rzeczypospolitej; na placu Voltaire'a odkryto pomnik dla Ledru Rollina; każdemu odsłonięciu towarzyszyły mowy, przeważnie w radykalnym duchu.

Nie dziw też, że tłumy ludu na ulicach i bulwarach były nie do zwalczenia i domy znikły prawie pod draperją flag, festonów i kwiatów.

O pół do 4tej rozpoczęła się defilada armji przed Grevym i prezydentem Izb; Gambetta był bardzo wzruszony i serdecznie pozdrawiał komendantów korpusów.

Publiczność najgłośniej witała wychowańców szkoły wojskowej w St. Cyr, kirasjerów i artylerję.

Bonapartyści protestowali od czasu do czasu, wołając: *„Vive la France!“*

Po defiladzie wszyscy jenerałowie z ministrem wojny na czele udali się kłusem przed trybunę trzech prezydentów i pozdrowili ich zdjęciem kapeluszy; zapał w tej chwili dosięgnął szczytu

Najwspanialsze iluminacje zabłysły na Panteonie, na Łuku tryumfalnym, wśród Pól Elizejskich, na Montmartre i na Barrière du Trône.

Na Łuku wzniesiono olbrzymi, 50 stóp wysoki posąg rzeczypospolitej; z wyżyny łuku rozlał się deszcz ognisty, złożony z 20,000 rakiet, które wysoko w powietrzu utworzyły trójkolorowy wachlarz.

Fajerwerk ten poświęcono ku czci armji.

Kolosalny krzyż ognisty na wyżynach Panteonu niemniejsze sprawił zdumienie; wszystkie te pirotechniczne arcydzieła wykonał słynny ogniomistrz Ruggieri.

W radykalnych dzielnicach wreszcie: Neuilly, Gobelin, Observatoir i t. d., odsłonięto pomniki na cześć Woltera, Baudina, Denferta, słynnego obrońcy Belfortu.

Treść Nr. 30. str

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.